

**Joan Elliott Pickart**

**Tęcza marzeń**

## PROLOG

John-Trevor Payton upił trochę brandy ze swego kieliszka i przez chwilę rozkoszował się drogim alkoholem pieszczącym gardło niczym aksamit. Podniósł szkło na wysokość oczu i przyglądał się, jak w bursztynowym płynie tańczy odbicie ognia. Upił następny łyk, po czym zaśmiał się lekko.

– Pułkowniku, pańskie brandy za każdym razem wynagradza mi trud dotarcia na tę oddaloną od świata górę.

Siwowłosy mężczyzna siedzący w skórzanym fotelu naprzeciwko Johna-Trevora uniósł szklaneczkę.

– Cenię ludzi, którzy lubią dobrą brandy – rzekł. – Zasłużyłeś na nią. Przez tę zadymkę musiałeś zostać w Denver dwa dni i teraz spędzasz noc sylwestrową tutaj, zamiast hulać na balu. To przekracza zakres twoich obowiązków.

– Byłem już w życiu na wystarczającej ilości balów – odrzekł John-Trevor. – Jestem bardzo zadowolony z pobytu tutaj. Tylko...

– Tylko pałasz ciekawością, o co tym razem chodzi?

– Tak – przyznał John-Trevor. – Bo chyba uszczuplanie pańskich zapasów doskonałej brandy nie jest głównym celem mojego przyjazdu.

Pułkownik Blackstone westchnął i przez kilka długich minut patrzył w ogień.

– Johnie-Trevorze – odezwał się po chwili. – Jestem już stary. Nie możesz temu zaprzeczyć.

– Siedemdziesiąt pięć lat to piękny wiek – odparł detektyw.

– Siedemdziesiąt pięć lat – powtórzył pułkownik Blackstone. – Jak to szybko minęło. Siedzę w tym domu za pięć milionów dolarów, mając świadomość swego bogactwa i przypominają mi się czasy, gdy byłem wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną jak ty teraz. Młodym, pełnym życia, przyjmującym wszystko, co niósł los. Ale, do diabła, jestem już stary, codzienne strzykania i bóle uświadamiają mi to aż nazbyt dobrze. John-Trevor pokiwał głową nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Ale z pewnością nie interesują cię moje starcze kości – zreflektował się pułkownik – tylko powód dla jakiego tu jesteś.

John-Trevor, biorąc szklaneczkę między dłonie, czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Ponad dwadzieścia pięć lat temu – zaczął pułkownik Blackstone – zakochałem się. Był to pierwszy i ostatni raz, gdy naprawdę darzyłem kobietę takim uczuciem. Spotkałem ją w Paryżu. Śpiewała piosenki w nocnym klubie. Nazywała się Kandi Kane.

– Jak? – zdziwił się John-Trevor. Pułkownik się uśmiechnął.

– Nietypowo, prawda? To jej pseudonim sceniczny. Miała na imię Kane, dodała sobie „Kandi”. Boże, była piękna! Czarne, jedwabiste włosy spływające do pasa i

najciemniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Skóra biała jak alabaster...

Blackstone zamilkł pogrążony we wspomnieniach, John-Trevor cierpliwie czekał.

– Tak... – Pułkownik poprawił się na krześle. – Była Amerykanką, nie Francuzką, ale uwielbiała Paryż. Żyła chwilą, każdą minutę chciała przeżyć jak najpełniej. Była dzika, niespokojna i nieuchwytna jak wiatr. Przysięgała, że nigdy nie zwiąże się z jednym mężczyzną i że nic nie zdoła osadzić jej na miejscu. Widywałem się z nią w Paryżu przez rok, o ile pozwalały mi sprawy służbowe. Zawsze cieszyła się z moich odwiedzin, zachowywała się, jakby czekała tylko na mnie. Poprosiłem ją o rękę, ale odmówiła i wkrótce zakończyła naszą znajomość.

– Pogodził się pan z tym?

– Nie, nie od razu. Musisz wiedzieć, Johnie-Trevorze, że przyzwyczailem się wygrywać. Jeśli w negocjacjach coś szło nie po mojej myśli, byłem gotów nawet zrezygnować. Gdy Kandi oznajmiła, że uważa nasz romans za skończony, zakupiłem właśnie olbrzymi kawał Teksasu, gdzie wkrótce postawiono kilka szybów naftowych. – Uśmiechnął się do swych wspomnień. – Wyprzedziłem kilku potężnych magnatów finansowych mających ochotę na tę ziemię i zaczynałem zdobywać szacunek i uznanie. Nadchodziły piękne dni dla chłopca, który wychowywał się na nędznym ranczo w Kolorado.

– Nadal odnosi pan sukcesy. Pamiętam, jak parę lat temu sprzątnął pan trzydziestopięciopiętrowy wieżowiec

w samym centrum Manhattanu tuż sprzed nosa królów nowojorskiej elity.

– Tak – przytaknął pułkownik. – To było piękne zwycięstwo. Straciłem już rachubę, ile zrobiłem w życiu korzystnych interesów. I wtedy, dwadzieścia pięć lat temu, nie mieściło mi się w głowie, że nie zmienię nastawienia Kandi do małżeństwa.

– Ale.. ?

– Ale nic jej nie wzruszało. Posyłałem jej kwiaty rano, w południe i w nocy. Wozilem ją do klubu, zabierałem do najlepszych restauracji, wynająłem apartament na Rivierze. Miała najlepszego we Francji projektanta, który zajmował się jej garderobą. Mogłem rzucić jej pod nogi cały świat.

– I odmówiła panu?

– Tak, bez chwili wahania. Ale byłem tak niemądry, że nalegałem dalej. Posłałem jej diamentowy pierścionek, naszyjnik i kolczyki. Zdenerwowała się bardzo, zwróciła mi je oznajmiając, że nie można jej kupić. Mam pieniądze i pozycję, ale to nie znaczy, że mogę mieć i ją. Powiedziała, że zniszczyłem piękne wspomnienia naszych wspólnych chwil. Była bardzo smutna. I wtedy wreszcie zdałem sobie sprawę, że ją straciłem. Straciłem Kandi Kane.

– Musiało być panu ciężko – wtrącił John-Trevor.

– Bardzo. Opuściłem Paryż i odtąd nie widziałem się z nią, choć nie zapomniałem. Nigdy. I teraz, po tych wszystkich latach, przeszłość znów przypomniła o sobie.

John-Trevor wpatrzony w pułkownika, nachylił się i oparł ręce na kolanach.

– Jakiś rok temu – mówił starszy mężczyzna – gdy przeszedłem na emeryturę, przyłapałem się na częstym rozmyślaniu o minionych latach. I zawsze Kandi była na pierwszym miejscu. Czułem, że muszę się dowiedzieć, co się z nią dzieje, czy jest szczęśliwa, czy ma wszystko, co trzeba. Nie ukrywam, miałem również nadzieję, że wciąż jeszcze mnie kocha i być może teraz zechce mnie poślubić i spędzić ze mną, resztę życia. Wynająłem w Paryżu detektywa i zleciłem odszukanie jej.

– Znalazł?

Pułkownik Blackstone głęboko westchnął.

– Tak. Zginęła w wypadku samochodowym pięć lat temu. Odkrycie tego zajęło mojemu człowiekowi miesiąc.

– Boże! – John-Trevor potrząsnął głową. – Tak mi przykro.

– Ale detektyw pracował dalej, zbierał wiadomości o życiu Kandi, odkąd się rozstaliśmy. Odnalazł tych, którzy ją znali, a których lubiła.

Pomogli mu uzupełnić tę trudną układankę. Kilka tygodni temu otrzymałem końcowy raport i wtedy osiadłem w tym domu, rozpamiętując stratę Kandi i naszą przeszłość. Ale teraz jestem zdecydowany powstrzymać swe jałowe żale i przejść do czynów.

– Jakich czynów?

– Mam dwudziestoczteroletnią córkę, Johnie-Trevorze. To moje dziecko z Kandi.

– Nie powiedziała panu, że jest w ciąży? – John-Trevor zaskoczony, uniósł brwi.

– Nie, ale nie dziwi mnie to. Kandi nie zrobiłaby nic, co mogłoby zagrozić jej niezależności. Wiedziała, że poruszę niebo i ziemię, by zaistnieć w życiu naszego dziecka. Jednak, jak twierdzą przyjaciele Kandi, chciała zdradzić sekret mojej tożsamości, gdy mała dorośnie. Planowała uczynić to w jej dwudzieste pierwsze urodziny.

– Ale wtedy już nie żyła.

– Właśnie. Z raportu detektywa wynika, że przez kilka lat Kandi z goryczą wspominała mnie i sposób, w jaki chciałem przekonać ją do małżeństwa, kupić ją, dodać do swej kolekcji samochodów, ziemi i interesów. Bardzo ją zraniłem, dodawali jej przyjaciele. – Zmarszczone czoło pułkownika lekko się wygładziło. – Jednak z biegiem lat Kandi większą uwagę poświęcała pięknym wspomnieniom naszego związku niż chwili, gdy w pamiętny sposób zniknąłem z jej życia. Mężczyźni wciąż szukali jej towarzystwa i gdy jeszcze kilku próbowało, jej zdaniem, kupić ją, nabrała wstrętu do pieniędzy. Doszło do tego, że nie pozwalała nawet postawić sobie drinka.

– Niezwykłe! – zauważył John-Trevor.

– Och, taka właśnie była. – Pułkownik Blackstone uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Wyjątkowa. I piękna. – Zamilkł na chwilę. – I pomimo jej znanego wszystkim pragnienia niezależności zapewniano mnie, że była oddaną matką. Nasza córka po urodzeniu stała się pierwszą osobą w życiu Kandi. Tak, Johnie-Trevorze,

Kandi chciała powiedzieć naszemu dziecku o mnie – rozwijał swoją myśl pułkownik. – Teraz na mnie jako na ojcu, spoczywa odpowiedzialność podjęcia tej decyzji. Przypuszczam, że Kandi, wyjawiając córce moje imię, zawiadomiłaby mnie o jej istnieniu.

John-Trevor przytaknął.

– Tak, to brzmi rozsądnie.

– Ponad dziesięć lat temu – pułkownik mówił dalej – Kandi zakupiła dom w Denver. Ceny nieruchomości były wtedy niskie. Dała niewielką zaliczkę i wszystkie swe oszczędności poświęciła na wykupienie go spod hipoteki przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami naszego dziecka. Zapiisała jej ten dom w testamencie.

– To zaczyna się układać w logiczną całość – zauważył John-Trevor. – Próbowiła umieścić córkę jak najbliżej pana. Możliwość zamieszkania w Ameryce miała być pierwszym prezentem urodzinowym, a drugim byłoby imię jej ojca.

– Tak by się stało. Jeśli nasze dziecko nie chciałoby mieszkać w Denver, byłby to znak, że się nie spotkamy. Kandi wierzyła w przeznaczenie, w to, że wszystko ułoży się tak jak powinno, bez niczyjej ingerencji z zewnątrz.

– Rozumiem. Chciałbym jednak zadać panu pytanie. Ma pan pewność, że jest jej ojcem?

– Tak, ponieważ Kandi tak twierdziła, a była najuczciwszą kobietą pod słońcem. Tak, tak, ta młoda dama jest moją córką i mieszka w Denver, w domu, o którym ci mówiłem.



– Jakie jest moje miejsce w tej sprawie? Wie pan już wszystko i nie rozumiem, w czym jeszcze mógłbym pomóc.

– A więc posłuchaj. Do mnie należy decyzja, czy powiem córce o swoim istnieniu, czy nie. Ale może byłaby szczęśliwsza, gdyby nie wiedziała, kim jestem i nie otrzymała milionów dolarów, wielu posiadłości, udziałów w interesach i tego wszystkiego, co po mnie odziedziczy.

– Trudno będzie podjąć decyzję, pułkowniku.

– Mam tę świadomość i dlatego wezwałem ciebie. Chciałbym, Johnie-Trevorze, żebyś poznał moją córkę jak najlepiej i opowiedział mi o niej. Mam jej adres i chciałbym, żebyś z samego rana pojechał do Denver. – Po raz kolejny pułkownik zamyślił się, patrząc w ogień. – Jakie to dziwne... Żyłem na tej górze tylko sześćdziesiąt kilometrów od mojego jedyne dziecko i nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Mogłem nigdy jej nie spotkać. – Utkwił wzrok w Johnie-Trevorze. – To będzie zależało od twojego raportu. Podporządkuję się jej życzeniu. Pieniądze częściej rujną życie, niż dają radość. Nie zrobię nic, co unieszczęśliwiłoby moją córkę.

– Rozumiem – odparł John-Trevor. – I obiecuję, pułkowniku, że będę możliwie najbardziej obiektywny. Przekażę panu same fakty, bez komentarza.

– Nie wyznaczam żadnego limitu czasowego. To zbyt ważna sprawa, aby załatwiać ją w pośpiechu. Będziemy w kontakcie, mam nadzieję?

– Dobrze. Wyjadę z samego rana. Jak ma na imię pańska córka?

– Paisley. Paisley Kane.

## Rozdział 1

– Uwaga! Z drogi! Silnik nie działa! Wszyscy z drogi!

John-Trevor usłyszał krzyczącą kobietę, gdy dochodził do skraju oblodzonego chodnika. Szybko zbadał wzrokiem budynek naprzeciwko i jezdnię. Pomyślał, że jeśli właścicielka straciła kontrolę nad pojazdem, może się to źle skończyć.

– Och, nie! – Usłyszał głos kobiety i odwrócił głowę.

Mignęła mu ubrana na czerwono postać i w chwilę później leżał już w mokrej, zimnej zaspie na brzegu jezdni, czując na sobie jakieś ciało.

Zamrugnął, wciągnął powietrze w obolałe od uderzenia płuca, po czym zdał sobie sprawę, że został przygwożdżony do ziemi przez kobietę. Wciąż oszołomiony, spojrzał jej w twarz... piękną twarz z najciemniejszymi oczami, jakie zdarzyło mu się widzieć, skórą białą jak alabaster, drobnym noskiem i kuszącymi ustami znajdującymi się zaledwie kilka centymetrów od jego warg. Dziewczyna miała na sobie czerwoną kurtkę i włóczkową czapkę w tym samym kolorze; wysuwały się spod niej czarne loczki. Zdążył też zauważyć długie rzęsy okalające duże oczy.

„Cóż za niespodziewane spotkanie” – ucieszył się John-Trevor. Opis, który otrzymał od pułkownika, pasował idealnie. Miał przecucie, że ten słodki ciężar, który na nim spoczywa, to nikt inny tylko panna Kane.

– Cześć – powiedziała, uśmiechając się promiennie. – Nazywam się Paisley Kane. – Uśmiech zaraz został wyparty przez zakłopotanie. – Tak mi przykro, że wpadłam na ciebie. Nic ci nie jest? Jeszcze raz przepraszam, silnik nawalił, strasznie warczał i ty byłeś akurat na chodniku i... no właśnie.

– Nic się nie stało – odezwał się detektyw, ani trochę nie zdziwiony faktem, iż jego ręce delikatnie objęły ją w pasie. – W porządku. Jestem John-Trevor Payton – dodał.

– Jak się masz? – spytała uprzejmie. – Och, nie, przepraszam. Z pewnością miałeś się znacznie lepiej, zanim cię przewróciłam. Gdybyś wypuścił mnie ze swych ramion, Johnie, moglibyśmy podnieść się z tego śniegu.

– Mam na imię John-Trevor – odparł. – Z myślnikiem w środku.

– Naprawdę? Podoba mi się. Brzmi trochę z francuska.

– Tak też myślała moja matka. Była Francuzką. Obaj moi bracia i ja mamy myślnikowe imiona: Paul-Anthony, James-Steven i John-Trevor.

Uśmiechnęła się po raz kolejny.

– Naprawdę niezwykle. Urodziłam się w Paryżu, ale nie jestem Francuzką. Uwielbiam Paryż, choć polubiłam też Denver. Chyba dlatego, że kompletnie różni się od Paryża. Mieszkam tu już pięć lat, jak ten czas szybko leci.

John-Trevor zachichotał, a Paisley zatrzęsała się razem z jego ciałem.

– Ale nie tak szybko jak ty przed chwałą po tym chodniku, panno Kane. Panno? Dobrze się wyraziłem?

– Tak. Nie brałam jeszcze ślubu. A ty?

– Nie, i nie mam zamiaru kiedykolwiek się żenić.

– Ach. – Pokiwała głową. – Jeszcze jeden z tych zatwardziałych kawalerów. Cóż, każdy lubi co innego. Ale tak niesamowicie przystojny mężczyzna... Nie interesują cię kobiety?

– Słucham? – Wybuchnął śmiechem.

– Nic. To nie moja sprawa. Wiesz, miło się z tobą rozmawia, ale naprawdę powinniśmy już wstać. Jeśli o mnie chodzi, zmarłam na kość.

„Paisley Kane jest jak powiew świeżego powietrza” – ocenił John-Trevor. Zdawało się, że mówi wszystko, co jej przychodzi na myśl. Córka pułkownika Blackstone'a była z pewnością bardzo sympatyczną osobą.

– Hej! – Wyrwała go z zamyślenia.

– A... tak – odezwał się, zdając sobie sprawę, że nie chce się z nią rozstać. Tak było miło leżeć pod nią, nawet pomimo dzielących ich warstw ubrania. Gdyby uniósł głowę, mógłby sięgnąć jej kuszących ust i...

– Wstajemy – oświadczył, zabierając ręce. Ześlizgnęła się z niego i przez chwilę stała nieruchomo, spoglądając na niego z góry.

„Jakie to dziwne” – pomyślała. Nie miała nic przeciwko leżeniu z Johnem-Trevorem nawet w śnieżnej zaspie. To szaleństwo, był przecież obcym mężczyzną, ale tak niesamowicie atrakcyjnym... Te jego gęste, kasztanowe włosy i oczy tak błękitne jak letnie niebo. Nie miał elegancji i wyrafinowanego piękna, które zaobserwowała

u mężczyzn w Paryżu, ale pełen był siły i wyrazu, cech właściwych jedynie Amerykanom. Ciężki kożuszek z owczych skór nie mógł zamaskować potężnych ramion i szerokiej piersi, a leżąc na nim, wyczuła muskularne kształty jego ciała. Był z pewnością dobrze zbudowany.

John-Trevor już wstał i Paisley odsunęła się o krok, zawstydzona swoim natrętnym spojrzeniem. Jej uwagę zwrócił nagle odgłos kroków, a gdy odwróciła się, ujrzała człowieka zdążającego w ich kierunku. Zerknęła na Johna-Trevora, który również dostrzegł biegnącego. Bliski sześćdziesiątki mężczyzna ubrany w zbyt luźny, znoszony czarny płaszcz i sflaczały filcowy kapelusz pamiętający lepsze dni, rzeczywiście wyglądał dość dziwnie.

– Paisley, Paisley! – Profesor zatrzymał się bez tchu przed nimi. – Co się stało?

– Silnik się zaciął – odparła pogodnie dziewczyna – Profesorze, to jest John-Trevor Payton. Johnie-Trevorze, poznaj profesora Klinga.

– Witam pana. – Starszy pan nachylał się właśnie, patrząc na stopy Paisley. – Mmmm...

John-Trevor wzruszył ramionami i również zerknął w dół. Do jej butów przyłączone były małe deseczki.

– Zmotoryzowane narty – wyjaśniła mu Paisley.

– Chodnik jest bardzo oblodzony, więc profesor wynalazł urządzenie do szybkiego poruszania się po nim.

– Wyjęła małe czarne pudełko z kieszeni kurtki i westchnęła. – Obawiam się, że musi poświęcić pan temu

jeszcze trochę czasu. Silniczek nie działa.

Profesor Kling skubał brodę.

– Co się mogło stać? Natychmiast się tym zajmę.

– Wziął od niej pudełeczko, odpiął mininarty i wsadził je sobie pod pachę. – Może mniej napięcia... – mruknął. – Nie denerwuj się, moja droga. Opanuję sytuację.

– Do zobaczenia – zawołała Paisley za pędzącym już profesorem.

– Czy on mówił poważnie? – spytał oszołomiony John-Trevor. Dziewczyna przytaknęła.

– To wynalazca. Nie uwierzyłybyś, co udało mu się skonstruować – z troską ciągnęła. – Najczęściej osiąga nie to, co zamierzał, biedaczek.

– Powinnaś być ostrożniejsza – odezwał się John-Trevor. – Coś mogło ci się stać przez te szalone narty.

– Nie, wylądowałabym w tej zaspie cała i zdrowa. Podziwiam profesora za to, że nigdy się nie poddaje. Znosi jedną porażkę za drugą i wytrwale szuka dalej. Nie jestem w stanie przewidzieć, co jeszcze zostanie wyprodukowane w mojej piwnicy.

– Pracuje w twoim domu?

– Tak, piwnica to jego laboratorium. Nikomu nie wolno tam wchodzić. Oczywiście ma też sypialnię, ale on rzadko sypia. To przemiły człowiek.

– Prowadzisz pensjonat?

– Nie, niezupełnie. Nigdy nie zamierzałam, ale samo tak wyszło, bo spotkałam tych ludzi, którzy nie mieli dokąd pójść i... – Wzruszyła ramionami. – W tym domu

jest tyle pokoi, że... Wiesz, chciałabym już się wysuszyć i przebrać. Skoro to z mojej winy marzniesz teraz w mokrym ubraniu, może chciałbyś pójść do mnie i zagrzać się przy ogniu?

– Z przyjemnością. Prowadź. – John-Trevor wykonał kurtuazyjny gest ręką.

Idąc po pokrytym lodem chodniku, detektyw rozglądał się po okolicy. Stało tu dużo małych sklepików oraz stare jedno – i dwupiętrowe domy. Część budynków wyglądała porządnie, inne były wyraźnie zaniedbane, o czym świadczył odpadający tynk.

– Cześć, Paisley – rzucił mijający ich wysoki i szczupły mężczyzna.

– Och, cześć, Chunky – odpowiedziała. – Jak tam twoja książka?

– Moja muza dużo mi pomaga – odparł.

– To świetnie – zawołała za nim i zwróciła się do Johna-Trevora. – To był Chunky. Poznałam go zaraz po przyjeździe do Denver. Mieszka przy targu, który właśnie minęliśmy. O ile wiem, jest w kontakcie ze swoją muzą od jakichś pięciu lat. Jak dotąd, nie przelał na papier ani jednego słowa, ale któregoś dnia napisze olśniewającą powieść. Czuję to. Właściwie nie wiem nawet, jak ma naprawdę na imię. Ale pośpieszmy się, jest tak zimno.

„Tak, Paisley Kane jest wyjątkową osobą – pomyślał John-Trevor. – Troszkę męczącą, ale zarazem ekscytującą. Wydaje się, że akceptuje ludzi takimi, jacy są, nie osądza ich i ich stylu życia. Czy nauczyła się tego od matki?



Prawdopodobnie tak. Kandi Kane musiała być niezwykłą kobietą, skoro podbiła serce pułkownika Blackstone'a".

– To tutaj – oznajmiła Paisley, zatrzymując się przed jednopiętrowym domkiem pomalowanym na bladoniebiesko. John-Trevor szybko zlustrował go wzrokiem. Wyglądał na zadbany. Dróżka, prowadząca od niskiej drewnianej furtki do szerokiego wejścia, była starannie odśnieżona. Jego wzrok przyciągnęła gra kolorów na ganku. W pierwsze drzwi wprawiono długą, ale wąską szybę, zaś w następnych drzwiach osadzony był podłużny witraż w tęczy kolorach. „Ciekawe, czy to własność Paisley" – pomyślał John-Trevor.

– Miłe miejsce – odezwał się głośno. – Na wiosnę chyba pełno tu kwiatów.

– Są ich dziesiątki. Skąd wiesz? Wzruszył ramionami.

– Pasowałyby mi do reszty.

Wchodzili właśnie po schodach na ganek i Paisley zatrzymała się przed wejściem.

– Pasowałyby do reszty? – spytała, przekrzywiając głowę. – A, jako dodatek do domu.

– Nie, Paisley. – Spojrzał prosto w jej czarne oczy i głębokim głosem dodał: – Miałem na myśli ciebie. Ty i kolorowe wiosenne kwiaty... jesteście dla siebie stworzeni.

Uśmiechnęła się.

– Jak ładnie to powiedziałeś. Dziękuję. Oboje stali nieruchomo. Mokre ubrania nie były ważne, ciepło rozlewało się po ich ciałach, jakby pod wpływem

wiosennych promyków słońca budzących z zimowego snu pierwsze kwiaty.

Serce Paisley zabiło jak oszalałe i po chwili cały krwiobieg tętnił nie znaną jej pulsacją. „Co by było – zastanawiała się – gdyby John-Trevor chciał mnie pocałować? Przyciągnąłby mocno do siebie i niecierpliwie szukał jej ust, czy też objąłby ją delikatnie i trwałiby tak przez wieki?” Och, *mon Dieu*, skąd wzięły się u niej te myśli.

Oderwała od niego wzrok i otworzyła pierwsze drzwi. Miała nadzieję, że nie zauważył głębokiego, przerywanego oddechu, jaki musiała zaczerpnąć. Zanim nacisnęła klamkę wewnętrznych drzwi, dotknęła czubkami palców witrażowego okienka. Po chwili razem z Johnem-Trevorem byli już w środku.

"Boże – myślał John-Trevor – mało brakowało, a porwałbym ją gwałtownie w ramiona i ucałował". Gdy patrzyła na niego w ten sposób, czuł, jak tonie w czarnej otchłani jej oczu. Potrzeba dotknięcia jej, przytulenia i pocałowania była niemalże nie do zniesienia.

Do diabła, co się z nim dzieje? Był tu, bo to jego obowiązek, powinien o tym pamiętać. Paisley Kane jest córką człowieka z wysoką pozycją. Musi się natychmiast opanować.

Gdy Paisley zamknęła drzwi, spojrzął na witraż mierzący jakieś trzydzieści na sześćdziesiąt centymetrów.

– Nie widziałem jeszcze czegoś takiego – powiedział, rozpinając kożuch. – Dotknęłaś go wchodząc. Zawsze tak

robisz?

– Tak. – Zdjęła kurtkę i powiesiła na mosiężnym wieszaku. – Nawet nie zdawałam sobie sprawy, to automatyczny ruch.

– Odczyniasz uroki?

– Nie. Wiesz, on należał do mojej matki. Bardzo go lubiła. Gdziekolwiek mieszkała, zabierała te szkiełka ze sobą. Zawsze wieszała je tak, żeby padające na nie słońce wytwarzało tęczę rozlaną po całym pokoju. Umarła pięć lat temu i odtąd witraż stał się moim najcenniejszym skarbem. John-Trevor pokiwał głową.

– Więc dotknęłaś go, bo stanowi więź z twoją matką?

– Tak, ale jest też czymś więcej. To... och, lepiej zdejmij z siebie ten kozuch.

Paisley ściągnęła właśnie gruby niebieski sweter, następnie zielony, który miała pod spodem.

– Stań sobie przy kominku. – Wskazała mu drzwi prowadzące do pokoju. – Masz ochotę na gorącą czekoladę?

– Tak, proszę. – Zawahał się sekundę, po czym lekko dotknął dłonią jej policzka. – Dziękuję za zaproszenie do kominka i za czekoladę.

Odsunęła się o krok i jego ręka wróciła na swoje miejsce. Po chwili dziewczyna zniknęła gdzieś w głębi domu.

Obserwował jej odejście. Zauważył, że bez zimowego ubrania była delikatną, drobną kobietą. Mierzyła jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów i miała przyjemną dla oka

figurę z niewielkimi piersiami i zaokrąglonymi pośladkami. Nosła dzinsy – na obu nogawkach po zewnętrznej stronie zostały wyszyte kwiatki. John-Trevor rozważał, czy Paisley sama wzbogaciła spodnie o ten dodatek. Na żółtym podkoszulku motyw kwiatów był również widoczny. Układały się w różne wzory i wносиły radosny powiew wiosny.

Raz jeszcze spojrzął na witraż i wszedł przez drzwi, które mu wskazała. Stał tyłem do kominka, by przeszukać wzrokiem wnętrze i zdobyć jakieś wskazówki odnośnie mieszkającej tu dziewczyny.

Duży pokój pełen był plecionych dywaników rozłożonych na błyszczącej podłodze z surowego drewna. Meble stanowiły intrygujące połączenie nowoczesności z czymś, co kojarzyło mu się z przedwiktoriańskimi antykami. Pomieszczenie urządzone wygodnie i przytulnie, mimo mieszaniny stylów. Rzeczywiście ukazywało charakter Paisley mówiącej i robiącej to, co w danej chwili przyszło jej do głowy.

John-Trevor zauważył mały album ze zdjęciami i już chciał po niego sięgnąć, gdy usłyszał jej głos.

– Już jestem. – Wniosła na tacy dwa kubki i talerzyk z ciasteczkami.

– Nie zajęło ci to dużo czasu – zdziwił się. Paisley się roześmiała. John-Trevor zauważył, że nieświadomie odwzajemnia jej uśmiech. Jego serce zabiło szybciej i poczuł, że zrobiło mu się gorąco.

– Mój tajemniczy sposób na gorącą czekoladę jest

bardzo prosty i szybki – odparła, stawiając tacę na stoliku. Odwróciła się, by uważnie na niego spojrzeć. – Zastanówmy się, czy powinnam ci go zdradzić? Czy ufam ci wystarczająco? Czy kupiłabym używany samochód od takiego człowieka?

-Machnęła ręką w powietrzu. – Pewnie, czemu nie.

– Usiadła na kanapie, wygładzając narzutę obok siebie.  
– Oto twoje miejsce. Chodź i skosztuj odrobinę tego wspaniałego płynu.

Usiadł obok niej, po czym nachylił się nad kubkami, badając wzrokiem ich zawartość.

– Wolę poczekać – powiedział. – Nie wypiję, dopóki nie usłyszę przepisu.

– Niedowiarek – zażartowała. Rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje, marszcząc przy tym nos.

– A więc słuchaj. – Zniżyła głos do szeptu. – Kupujesz tabliczkę mlecznej czekolady, wkładasz ją do rondelka i podgrzewasz. *Voila!* Gorąca czekolada!

John-Trevor zaczął się śmiać. Odwrócił głowę do Paisley i napotkał jej wzrok. W jego mózgu natychmiast zrodziła się uporczywa myśl, że jeśli w tej chwili nie pocałuje Paisley Kane, postrada zmysły.

Wciąż patrzyli na siebie, ale uśmiech zniknął już z ich twarzy.

– Paisley – rzekł John-Trevor głosem, który wydał mu się obcy. – Chciałbym cię pocałować.

– Dobrze – powiedziała cicho.

Ujął twarz dziewczyny w dłonie i przycisnął swoje usta

do jej. Jego język rozdzielił jej wargi i wdarł się na poszukiwania swojego bliźniaczego brata. Paisley zarzuciła mu ręce na szyję i gorąco odwzajemniła pocałunek.

Ogarnęło go szalone podniecenie. Czuł eksplozję ciepła, coraz to nowe jego fale przepływały przez ciało. Zapach Paisley kojarzył mu się ze świeżym powietrzem i kwiatami, jej usta miały smak nektaru.

Pocałunek był bardzo zmysłowy... ale nie powinien się zdarzyć. Miał przecież poznać ją, zachowując obiektywizm. Zamierzał przerwać ten bezsens... za jakiś tydzień czy coś koło tego.

– *Ca, c'est incroyable* – westchnęła Paisley. Nikt jeszcze nie całował jej w ten sposób. Czuła się dziwnie, jak gdyby coś powoli unosiło ją do raju zmysłów, o którego istnieniu dotąd nie wiedziała. Stała się boleśnie świadoma każdego centymetra ciała, zarówno swojego, jak i Johna-Trevora. Pocałunek był niebiański i chciała, by trwał i trwał, i...

John-Trevor podniósł głowę i odsunął ręce od Paisley. Otworzyła oczy i powiedziała rozmarzona: – To było... to było cudowne. Gdy już całujesz, to naprawdę całujesz. Po prostu cudownie.

– Podobało ci się? – mruknął niechętnie i wziął jeden z kubków. Wypił łyk gorącego płynu, przytrzymując kubek w obu dłoniach, oparł łokcie na kolanach i zapatrzył się w migoczący ogień.

Paisley wpatrywała się w Johna-Trevora przez dłuższą

chwile, po czym również sięgnęła po czekoladę. Oparła kubek o nogę i dalej świdrowała wzrokiem mężczyznę.

– Czy cudowne pocałunki zwykle wprowadzają cię w podobny nastrój?

Odchylił głowę do tyłu.

– Nie powinienem cię całować. A co więcej, panno Kane, ty nie powinnaś całować mnie. Do diabła, przecież w ogóle mnie nie znasz. Zawsze tak się zachowujesz wobec dopiero co poznanych mężczyzn?

– Tylko wobec tych, których wrzucam w zaspy – odparła żartobliwie.

– Możesz być poważna? – podniósł lekko głos.

– O co ci właściwie chodzi? To był wspaniały pocałunek, a ty jesteś bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znam. I na tym historia się kończy.

– Nie, nie kończy, bo mam ochotę pocałować cię jeszcze raz i jeszcze raz. Chciałbym też kochać się z tobą, tutaj na tym dywanie, przy ogniu. Koniec historii? Niezupełnie. To dopiero pierwszy rozdział i lepiej pomyśl, co może się zdarzyć, zanim jeszcze raz pozwolisz się całować w ten sposób. – Zaklął pod nosem i szybko opróżnił kubek. Postawił go na tacy z głośnym stuknięciem.

– Skończyłeś mnie strofować? – spytała łagodnie. John-Trevor spojrział w sufit i jęknął.

– Boże, daj mi siłę.

– Może jeszcze trochę czekolady?

– Nie.

– No cóż. – Zamilkła na moment. – Strasznie się zaperzyłeś i to właściwie bez powodu. Trochę cię przecież znam. Nazywasz się John-Trevor Payton i jesteś pół-Francuzem. Aha, chcesz pozostać kawalerem.

Jesteś oszałamiająco przystojny, a twoje pocałunki są jak sen. Masz niezłe poczucie humoru, czego dowodem jest fakt, że nie kazałeś aresztować mnie po wyjściu z zasy za naruszenie nietykalności osobistej. Poza tym...

– Dobrze, dobrze – przerwał jej, rozdrażniony, podnosząc rękę. – Wybroniłaś się.

– A co do kochania się przy ogniu, nie mógłbyś tego zrobić, póki się nie zgodzę. A nie zgodzę się, bo zanim będę się kochać, muszę być zakochana. To moja zasada, którą zresztą większość mężczyzn, z którymi się spotykałam, uważała za śmieszna. Ale to już ich sprawa. – Wzruszyła ramionami.

John-Trevor spojrział na nią uważnie, mrużąc oczy.

– Czy to znaczy, że jesteś... że nigdy... – Szybko przeciął ręką powietrze. – Koniec. Nie było tego. Boże, ludzie nie siedzą i nie rozmawiają tak sobie o... Payton, zamknij się.

– Kępuje cię ten temat? Mieszkam tu już pięć lat, ale ciągle śmieszy mnie zakłopotanie Amerykanów, gdy chodzi o... – pochyliła się do niego, otworzyła komicznie oczy i ciągnęła dramatycznym szeptem: – no wiesz, o seks.

Wyprostowała się i mówiła dalej:

– Nie wpadam w panikę tylko dlatego, że jeszcze z



nikim nie spałam. Miałam kilka możliwości, ale nie kochałam żadnego z tych mężczyzn, którzy wyznawali mi miłość. – Wzruszyła ramionami. – Cóż, wiem, że prędzej czy później los obdaruje mnie tym jedynym. No, a potem gromadką dzieci.

– Oczywiście. – Głos Johna-Trevora wydawał się znużony. – Zmęczyłaś mnie, Paisley. Jesteś wyczerpująca, ale zarazem tak urocza i pełna życia, jak żadna kobieta, którą miałem przyjemność znać.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego ciepło. – Wiesz, lubię cię, mimo twoich zmiennych nastrojów. Mieszkasz w Denver?

– Nie, jestem z Los Angeles.

– Aha. Domyślasz się, o co teraz zapytam?

– Nie.

– Co robisz tu, w Denver?

## Rozdział 2

„Teraz się zacznie seria kłamstw” – pomyślał John-Trevor.

Ale, do diabła, to nie będą kłamstwa w normalnym tego słowa znaczeniu. Jego praca zezwalała na zdobywanie informacji w każdy sposób, o ile był on zgodny z prawem. Jedyna trudność, to jak zabrzmieć wiarygodnie wobec kogoś tak szybko myślącego i ciekawego jak Paisley.

– Johnie-Trevorze?

– Słucham? A, co robię w Denver? – Oparł się wygodnie i położył rękę na oparciu kanapy. – Prowadzę agencję detektywistyczną. Zajmujemy się wszystkimi sprawami począwszy od zapewnienia ochrony osobistej do szukania zaginionych osób włącznie. Czego sobie klient zażyczy.

– Ekscytujące zajęcie. – Paisley aż podskoczyła z wrażenia. – Więc jesteś prywatnym detektywem?

Skinął głową.

– Mam takie uprawnienia.

– Nosisz broń?

– Czasem. Obecnie rzadko trafiają się zadania z cyklu „płaszczka i szpady”.

– A jaką sprawę prowadzisz teraz? – spytała, nachylając się do niego.

– Muszę odnaleźć faceta, który... który był księgowym pewnej firmy w Los Angeles i zwiął z ich forszą.

Przyjechałem za nim do Denver, ale... To nie jest ciekawa historia, nic mrożącego krew w żyłach. Powiedz lepiej, z czego ty żyjesz?

– Czekał, czekał! – Nie dała mu skończyć. – Złapałeś kiedyś groźnego przestępcę na gorącym uczynku?

– Tak, ale dość dawno. Gdy agencja rozkręcała się, brałem każdą sprawę, jaka się nadarzała. Teraz mam zespół pracowników, a zadania stały się bardziej wyrafinowane. Czasem są doprawdy niezwykle. – „Jak teraz” – pomyślał. Ale na ogół to normalna, rutynowa praca. Podjąłem się szukania tego oszusta, bo chciałem oderwać się od papierkowej roboty.

– Ciagle wydaje mi się to podniecające.

– Wcale nie jest – mruknął. – A gdzie ty pracujesz? – Pułkownik zdradził mu tylko adres Paisley, dając możliwość poznania jej trybu życia osobiście zapewne dlatego, by pierwsze wrażenie Johna-Trevora ze spotkania z jego córką było możliwie świeże. Możliwości finansowe pułkownika nie były małe i na pewno zebrał więcej informacji, niż przekazał detektywowi.

– Wynajmujesz swój dom i pieniądze płyną same?

– Nic takiego – odparła Paisley. – Nikt mi nie płaci za pokój. Składamy się tylko na opłaty za dom i jedzenie. Pracuję jako tłumacz w bibliotece. Przekładam książki z angielskiego na francuski i odwrotnie, i nagrywam treść na taśmę.

– Jestem pod wrażeniem.

– To niewielkiego. Pamiętasz, dorastałam przecież w

Paryżu. Używałam obu języków, odkąd zaczęłam mówić. Ta praca daje mi dużo radości. Wiesz, francuskie powieści budzą we mnie wspomnienia z dzieciństwa. Choćbym nie wiem jak bardzo lubiła Denver, Paryż zawsze będzie zajmował szczególne miejsce w moim sercu. W każdym razie płacą mi za czytanie książek, co jest jednym z moich ulubionych zajęć. Należę do grona tych szczęśliwców, którym praca sprawia przyjemność. A ty lubisz to, co robisz?

– W większości przypadków, tak.

„A co z obecną sprawą?” – zastanowił się John-Trevor. Miał mieszane uczucia. Z jednej strony był zadowolony, że poznał czarującą Paisley Kane. Jednak świadomość, że w olbrzymim stopniu od jego raportu zależeć będzie dalsze życie Paisley, zaczynała mu ciążyć.

Zanim dziewczyna zdążyła odezwać się ponownie, otworzyły się frontowe drzwi i weszła niska, krągła kobieta, na oko przed siedemdziesiątką. Dźwigała plastikową torbę na zakupy z wzorkiem w jasnoróżowe flamingi.

– Ale zimno – zawołała. – A temperatura ciągle spada. Będzie dużo śniegu. Kupiłam warzywa na surówkę. Zostało jeszcze od wczoraj trochę gulaszu. Powinno pasować. O... widzę, że masz gościa, Paisley.

– Gracie, poznaj Johna-Trevora Paytona – przedstawiała ich Paisley. – Johnie-Trevorze, to jest Gracie Smith. Mieszka tu i gotuje dla wszystkich.

– Miło mi panią poznać. – John-Trevor już się podnosił.

– Proszę nie wstawać – powiedziała Gracie, stawiając torbę na podłodze. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. – Już znikam wam z oczu. Muszę przygotować obiad.

John-Trevor zamrugał ze zdziwieniem, gdy pulchna kobieta odeszła w głąb domu.

– Dziwny zestaw – skomentował. Paisley się roześmiała.

– Czyż nie jest oryginalna? Tak przyzwyczałam się do jej ubrań, że już nie zwracam na nie uwagi. Połączenie czerwonych spodni i pomarańczowej bluzki może być rzeczywiście zaskakujące. Biedaczka nie odróżnia kolorów.

– Czy zdaje sobie sprawę, że jej włosy są jasnoniebieskie?

– Wątpię. Lubi eksperymentować z farbami, nie mam pojęcia dlaczego. A włosy miała już zielone, purpurowe... tak, wszystkie odcienie. Jestem przekonana, że nie odróżnia czerwonego od błękitnego i zielonego.

– Skąd się tu wzięła?

– Pracowałam z nią. Nie ma żadnej rodziny, a jej dom przeznaczono do rozbiórki. Została dosłownie na bruku. Dni spędzała w bibliotece, a całe noce wysiadywała na przystankach autobusowych.

– Więc przyprowadziłaś ją tutaj?

– Tak, jakieś dwa lata temu. Wspaniale gotuje i jest wybawieniem dla nas, bo ja nie sprawdzam się w kuchni. Zawsze jadałyśmy z mamą w *bistro i cafe*. – Wymówiła te

słowa z francuskim akcentem, który był równie uroczy, jak i ona. – Według mamy życie jest za krótkie, by spędzić je nad kuchnią. Niezwykłe jak na osobę, która większą część życia spędziła we Francji, prawda? Próbowałam coś gotować, ale nigdy nie wyszło tak, jak chciałam.

– Czekolada w twoim wykonaniu jest doskonała.

– Dziękuję.

Ich spojrzenia się spotkały. Wspomnienie pocałunku wisiało w powietrzu zbliżając ich, choć żadne nie wykonało ruchu.

– Johnie-Trevorze – odezwała się po chwili Paisley. Jej głos się łamał. – Czuję się przy tobie... tak dziwnie, tak... nie wiem. Znałam tylu mężczyzn w Paryżu i tutaj, ale żaden nie był taki jak ty.

John-Trevor pogładził jej jedwabiste czarne włosy.

– Ja też nie spotkałem jeszcze nikogo takiego jak ty, Paisley – powiedział łagodnie. – Jesteś bardzo rzadkim i cennym rodzajem kobiety. Ale ja nie jestem mężczyzną, z którym mogłabyś się związać... Cóż, czekasz na tego, który da ci tę gromadkę dzieci i...

– Może nie jest mi pisane go znaleźć...

– Z pewnością kiedyś się pojawi.

– Przeznaczenia nie zmienisz, Johnie-Trevorze.

– Czasem sami musimy dbać o swoje sprawy i brać życie w swoje ręce. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, to za bardzo pachnie metafizyką. Wydaje mi się, że wiem, czego chcę od życia, ale często po prostu unosi mnie jego

prąd. To właśnie może być otwarciem furtki losowi.

– A nasze spotkanie? Uważasz, że to był przypadek?

Roześmiał się.

– Paisley, poznałem cię, bo pod twoim dachem mieszka szalony wynalazca. Oczywiście, że to nie było przeznaczenie. Śmieszne.

– A pocałunek? – spytała miękko. „Pocałunek” – pomyślał, nadal bawiąc się jej włosami. – Na pewno zrodził się z tęsknoty i potrzeby, jakiej nigdy dotąd nie czuł. Ten niesamowity pocałunek poruszył go aż do głębi.

– Pożądanie, moja droga – odpowiedział krótko, odsuwając rękę od jej włosów. Oparł łokcie na kolanach i pochylony, utkwiał wzrok w ogniu. – Po prostu zwykłe pożądanie.

„Pożądanie – szepnęła do siebie Paisley. – Co za okropna myśl. Takie płytkie słowo na określenie czegoś tak niesamowicie... wspaniałego”.

Spojrzała na Johna-Trevora. Jeszcze raz zdała sobie sprawę z jego potężnej budowy, szerokich pleców opiętych grubym, marynarskim swetrem.

Z całej postaci emanowała siła i energia. Przypomniała sobie powiew mroźnego, zimowego powietrza i ciepło promieniujące od tego mężczyzny, przenikające do jej krwi. Przywołała wspomnienie jego delikatności, pocałunku i pożądania. "No cóż – zadumała się, stukając nerwowo palcem o brodę. – Trudno się w tym połapać. John-Trevor to skomplikowany mężczyzna. Z jakichś powodów nie chce przyznać się, jakie wrażenie wywarł na

nim ten pocałunek. Chciał pomniejszyć znaczenie tego, co się między nimi stało przez nadanie temu etykiety „żądza”.

Paisley była pewna jeszcze jednego. Wiedziała, czym są pocałunki zrodzone z czystego pożądania – żaden nie zawierał w sobie tyle uczucia, ile ten. Poza tym, jeśli ona uświadamiała to sobie, to on tym bardziej, choć najwyraźniej nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Dziwne, ale jednocześnie interesujące.

– Tak... – powiedziała. – Więc to było pożądanie. Fascynujące. Często zastanawiałam się, jak to jest. No wiesz, ta nieodparta potrzeba, żeby zrzucić z siebie ubranie i wskoczyć do łóżka. Bez uczuć, bez emocji, o niczym innym nie myśląc, po prostu zmysły, fizyczna potrzeba odprężenia. Naprawdę jestem ci wdzięczna. Dzięki tobie poznałam żądzę w jej najczystszej formie. – Zamrugła powiekami. – Co za dzień pełen przygód! Najpierw mój silnik się popsuł, a teraz ty uświadomiłeś mi, czym jest pożądanie.

– Do diabła! – krzyknął, błyskawicznie odwracając się w jej stronę. – Przestań! Mówisz o tym, jakby to był nowy smak lodów, które właśnie zjadłaś. Ten pocałunek to było coś więcej, Paisley. Moja chęć, by się z tobą kochać, to nie tylko pożądanie, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć. A teraz możemy o tym więcej nie mówić?

Złożyła grzecznie ręce i uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Skoro tak uważasz.

– Świetnie – powiedział i potrząsnął głową. – Co ja



robię? Co ja mówię? Wyprowadzasz mnie z równowagi, moja panno.

– Skoro tak uważasz – mruknęła, ciągle się uśmiechając.

– I skończ z tym „skoro tak uważasz”, dobrze? – wykrzyknął, nie panując nad sobą.

– Dobrze. Skoro... eee, to znaczy jasne, jak chcesz. Nie powiem „skoro tak uważasz”. Te słowa nie wyjdą nigdy z mych ust. Wymazuję je z pamięci. Uff, już.

John-Trevor się zaśmiał.

Zaśmiał się, bo drugą możliwością uwolnienia psychicznego i fizycznego napięcia mogło być tylko uderzenie pięścią w ścianę.

Zaśmiał się, bo Paisley Kane była rozkoszną, przemiłą, budzącą pożądanie kobietą i nigdy, przenigdy nie spotkał kogoś takiego.

Więc śmiał się i było mu z tym dobrze.

– Boże – wyznał w końcu – chyba postradałem zmysły. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

– Masz taki przyjemny śmiech – powiedziała miękko, jakby do siebie. – Taki bogaty i pełny. Potrafiący wnieść słońce w najczarniejszy dzień.

Spojrzał na nią, zaskoczony komplementem.

– Eee... A co to? – Jego uwagę przyciągnął dziwny odgłos. – Krowa. Słyszałem ryk. Czy wynajmujesz któryś z pokojów bezdomnemu cielakowi?

Paisley zachichotała, gdy ponowne „muuu” rozległo się echem po domu.

– To jeden z wynalazków profesora. Postanowił stworzyć całą sieć dzwonek brzmiących jak zwierzęta. Nikt nie był zainteresowany jego projektem, skończyło się więc na tym jednym – na krowie. Profesor zainstalował go w kuchni i Gracie używa go, gdy posiłek jest gotowy. Zjesz z nami obiad? Gracie robi pyszny gulasz.

– Dziękuję, z chęcią.

– Za kuchnią jest łazienka. Możesz tam umyć ręce. John-Trevor szedł za Paisley. Korytarz prowadził do tylnej części domu, gdzie znajdowała się kuchnia. Białe wyposażenie, choć nienowe, było czyste i błyszczące. W oknie wisały perkalowe zasłony w biało-żółtą kratkę. Pod ścianą stał prostokątny drewniany stół i sześć krzeseł.

Kuchnia wytwarzała miły, domowy nastrój, ocenił John-Trevor, myjąc ręce. Skłaniała do przeciągania posiłków, by dłużej posiedzieć przy stole, do rozmów o codziennych sprawach.

Przed oczami mignął mu obraz jego lśniącego, nowocześnie urządzonego mieszkania w Los Angeles. Było przestronne i kosztownie umeblowane, ale w porównaniu z domem Paisley wydawało się ciche i puste, brakowało w nim tego ciepła.

John Trevor zastanawiał się, kiedy ostatnio śmiał się głośno u siebie w pokoju. Kiedy, o ile w ogóle, już w progu przywitała go przyjemna, relaksująca atmosfera? I kiedy, na miłość boską, pozwoli sobie na takie sentymentalne rozważania w swojej łazience?

– *Muuu!*

– Już idę, krówko – mruknął i wrócił do kuchni.

Jego wzrok od razu zderzył się ze spojrzeniem młodego człowieka. Siedemnasto – lub osiemnastolatek miał długie, zmierzwione włosy i chociaż mierzył kilka centymetrów mniej niż John-Trevor, był równie dobrze zbudowany. Chłodne, brązowe oczy patrzyły badawczo na detektywa, jakby oceniając siłę przeciwnika.

„Ten dzieciak – pomyślał John-Trevor – musiał wychować się na ulicy”. Sądząc po rozmiarach jego mięśni, ćwiczył codziennie podnoszenie ciężarów. Wyglądał trochę jak ponury i posepny obraz Jamesa Deana. Bez wątplenia był jednym z domowników.

– Jesteś – powitała Johna-Trevora Paisley. – To Bobby Franklin. Mieszka tu.

„Oczywiście – pomyślał ironicznie detektyw. – Po prostu mieszka, jak cała reszta”.

– Bobby – Paisley kontynuowała przedstawianie – to John-Trevor Payton. Zje z nami obiad. Wpadł z mojej winy w zaspę, bo podczas testowania nart profesora zepsuł się silniczek.

– Chwilowe niepowodzenie – wtrącił żywo profesor, machając rękami. – Poprawię to w mgnieniu oka.

– Nie wątpię, profesorze. – Paisley uśmiechnęła się do niego. Ponownie skierowała uwagę na młodego Franklina. – Bobby?

– A, tak – odparł ten nieobecny głosem. Wyciągnął rękę do Johna-Trevora. – Miło cię poznać, Payton.

– Johnie-Trevorze albo panie Payton – odezwał się

ostro mężczyzna i uściskał podaną rękę, nie zważając na wysiłki chłopaka, który starał się zmiążdżyć mu palce. Po chwili Bobby obrzucił go kolejnym wrogim spojrzeniem i pierwszy rozluźnił uścisk.

„Ten chłopak to nie lada kłopot – pomyślał John-Trevor. – Ma pretensje do całego świata, to widać na pierwszy rzut oka. Robi wrażenie, jakby na śniadanie jadał surowe mięso. Dlaczego, u licha, Paisley przyjęła do domu takiego gnojka? Udane stadko”.

– Możemy zaczynać. – Paisley umieściła na stole surówkę w drewnianej miseczce, obok, w dużym kamiennym rondelku, stał gulasz.

– Wszyscy do stołu! Usiądź tutaj, Johnie-Trevorze. Profesorze, proszę się już nie martwić silnikiem i jeść. Gracie, gulasz pachnie wspaniale.

– Dziękuję, kochana. – Gracie postawiła na stole koszyk z chlebem. – Bobby, powinieneś iść do fryzjera.

– Wiem – odparł krótko chłopak.

Wszyscy nałożyli sobie porcje i zajęli się posiłkiem. Nagle, między jednym kęsem a drugim, Paisley zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w tym domu zaprosiła mężczyznę do stołu. Naturalnie często mieli gości na obiedzie, również płci męskiej, ale byli to dobrzy znajomi, którzy wpadli z odwiedzinami i się zasiedzieli. John-Trevor natomiast był mężczyzną i stanowił inną kategorię niż oni.

– „Tak – myślała dalej – John-Trevor przede wszystkim był mężczyzną. ” Gdy ją całował, mało nie stopiła się od

fali gorącej namiętności, którą w niej rozbudził. Na moment zapomniała o swojej przysiedze, że będzie kochać się tylko z tym, którego najpierw obdarzy uczuciem. Przez chwilę nie pragnęła niczego innego, niż móc iść do łóżka z Johnem-Trevorem i spędzić z nim czas aż do świtu. *Mon Dieu*, dobrze, że przerwał ten pocałunek, ale co będzie, gdy pocałuje ją ponownie?

I jak by to było, puszczała dalej wodze fantazji, gdyby John-Trevor siedział naprzeciwko niej przy każdym obiedzie? Gdyby spędzali razem popołudnia, rozmawiając, milcząc, podnosząc głowy, by wymienić ciepłe spojrzenia znad książki czy telewizora? Gdyby razem wspinali się po schodach do jej sypialni i kochali się w łóżku z baldachimem, w którym dotąd sypia samotnie?

Zerknęła na Johna-Trevora w tym samym momencie, gdy on spojrzał na nią. Poczowała napływający na policzki rumieniec. A jeśli czytał w jej myślach? Oderwała wzrok od detektywa i zwróciła się do Bobby'ego:

– Jak było w pracy?

– ... brze – mruknął, gryząc kromkę chleba.

– Bobby jest świetnym mechanikiem – wyjaśniła Johnowi-Trevorowi. – Pracuje w warsztacie Chestera i nie opuścił ani jednego dnia przez jedenaście miesięcy. Tak, Bobby?

– No.

– Czy jest was więcej? – wtrącił się John-Trevor. – Czy to już cała... mogę chyba powiedzieć, rodzina?

Paisley uśmiechnęła się.

– To już wszyscy. „Rodzina” to odpowiednie słowo. Nie mamy nikogo prócz siebie.

„Niezupełnie – pomyślał John-Trevor. – Paisley ma ojca. Bardzo bogatego ojca”. Paisley Kane w diamentach i futrach? Nie mógł wyobrazić sobie tego. Cóż, na szczęście to nie zależało od niego. On tylko gromadził informacje.

Powinien trzymać ręce z dala od Paisley, powiedział sobie stanowczo John-Trevor. Ale niebiosa świadkiem, ten pocałunek był czymś wspaniałym. Cóż, choćby nie wiem, jak bardzo chciał się z nią kochać, nie zanosił się na to. Mimo łatwości, z jaką rozmawiała o seksie, ciągle była niedoświadczoną kobietą i czekała na faceta, który odda jej ciało i duszę i obdarzy ją „gromadką dzieci”. A tym mężczyzną z pewnością nie będzie John-Trevor.

– Bobby – zaczął, pragnąc uwolnić się od wizji Paisley całującej się z kimś innym niż on. – Jak zostałeś członkiem tej rodziny?

Bobby powoli uniósł głowę, by spojrzeć na Johna-Trevora niechętnym wzrokiem.

– Co cię to obchodzi?

– Bobby – odezwała się Gracie – nie bądź niegrzeczny. John-Trevor pyta z ciekawości.

– No dobra. – Bobby wciąż krzywo patrzył na Johna-Trevora. – Poznałem Paisley rok temu. Otwierałem drutem jej wóz, żeby go ukraść. Matka przekreśliła się, gdy byłem dzieciakiem, stary zniknął parę lat temu.

Rozpruwałem zamki, żeby mieć za co żyć. Zadowolony... glino?

– Bobby – odezwała się zaskoczona Paisley. – John-Trevor nie jest...

– Daj spokój. Wyczuję gliniarza na kilometr. Nie masz szczęścia, facet. Od roku jestem czysty. Przyczep się do kogoś innego.

John-Trevor oparł się wygodnie i skrzyżował ręce na piersi.

– Wiesz, Bobby, twój problem to złe nastawienie do świata. Któregoś dnia to się może komuś nie spodobać i będziesz zeskrobywał swoje resztki z chodnika.

– Czyżby? – Bobby wycedził przez zęby. – I to pewnie ty będziesz tym kimś? Daj mi znać, kiedy będziesz gotów. Tylko jak skuję ci mordę, ty oskarżysz mnie o pobicie i pójdę siedzieć. Tak zrobisz, gliniarzu?

Paisley otworzyła usta, ale nie wymówiła ani słowa, jej wzrok podobnie jak wzrok Gracie, błędził od Johna-Trevora do Bobby'ego. Tylko profesor okazał obojętność wobec tej wymiany zdań.

John-Trevor z niesmakiem potrząsnął głową.

– Nie jestem gliną, choć muszę przyznać, że masz wyczulone oko. Pracuję jako prywatny detektyw. Prywatny, Bobby, a to znaczy, że jeśli wezmę cię na stronę, nie będzie o tym wiedział nikt prócz nas dwóch.

– Przestań. – Paisley odzyskała głos. – I ty też, Bobby. Jak mali chłopcy na podwórku. Nie mam ochoty tego wysłuchiwać. Nie w moim domu. Czy wyraziłam się

jasno?

– Ta... – Bobby nachylił się nad talerzem. Paisley uniosła brodę.

– Johnie-Trevorze?

Cudownie, stwierdził detektyw. Poczł się jak małe dziecko, które było niegrzeczne i dostało po łapach. Ale mordercze spojrzenie Paisley radziło mu nie wszczynać sprzeczki.

Podniósł obie ręce w pokojowym geście.

– Nie bój się, Paisley. Doskonale się rozumiemy z Bobbym. Może nawet zostaniemy kumplami?

– Nie przeciągaj struny – mruknął Bobby. – Gracie, możesz podać mi chleb? O, te twoje włosy są całkiem niezłe.

– Tak? – Gracie pogładziła swoje loki. – Jaki mają kolor?

– Niebieski – odparł Bobby. – Intensywnie niebieski.

– To dobrze. Myślę, że podobałby mi się niebieski. Nigdy się tego nie dowiem...

– Pamiętaj – zapewnił ją Bobby – zawsze możesz mnie zapytać, jaki co ma kolor. Ale wiesz, Gracie, jesteś szczęściarą. Dla ciebie barwy są takie, jakie chcesz. Reszta ludzi ma ustalone, czerwony to czerwony, zielony to zielony, no wiesz, coś w tym stylu. Nie mają żadnego wyboru. Ale gdy tobie ktoś mówi: – „Ta koszula jest żółta”, możesz wyobrazić sobie, że jest takiego koloru, jakiego byś chciała.

– Dziękuję, kochany – odparła wzruszona Gracie. –



Dzięki tobie świat w szarej tonacji nie wydaje mi się taki zły. Dołożyć ci gulaszu?

John-Trevor spojrzał na Bobby'ego z niedowierzaniem. Co za dziwny dzieciak! Raz zachowuje się wyniośle, jakby miał wszystkich gdzieś, a zaraz potem przejawia delikatność i wrażliwość wobec starszej kobiety.

Cóż, Bobby Franklin był wychowanym przez ulicę, przemądrzałym spryciarzem, zdecydował John-Trevor. Ale Paisley, mimo że przyłapała go na kradzieży jej własnego samochodu, najwyraźniej trafiła pod jego szorstki pancerz. Czyż nie była naprawdę wyjątkową osobą?

– Słyszycie, jak wiatr zawodzi? – spytała właśnie Paisley. – Na dworze musi być obrzydliwie.

– Ale w domu jest cicho i przytulnie – odezwała się Gracie. – Nikt z nas nie musi przecież błąkać się w taką pogodę.

Paisley zerknęła na Johna-Trevora. Uśmiechnął się w typowo męski sposób, jakby pytając: – „I co teraz, kwiatuszku?” Wtedy Paisley powiedziała z naciskiem:

– Niektórzy z obecnych nie mieszkają tutaj, Gracie. – I po to są właśnie gościnne pokoje – spokojnie odparła kobieta. – Posłuchaj, jak wiatr uderza w okna. Musi być niezła zadymka albo nawet zamieć śnieżna. Trudno wygonić psa w taką pogodę, a co dopiero człowieka.

– Psa! – poderwał się Bobby. – Gdzie jest Maxine?

– Szybko, tylne drzwi!

Chłopak błyskawicznie znalazł się przy nich i otworzył.

Do środka wpadł powiew mroźnego powietrza, kłujące ziarenka mokrego śniegu i duża, niekształtna suka, kołysząca się na boki jak kaczka. Gdy drzwi się zamknęły, pies otrząsnął się i zaczął machać ogonem.

– Maxine – złajał ją Bobby. – Dlaczego jesteś taka głupia? Trzeba było zawyć albo skrobać, albo...

– To dobrze wychowana dama. – Zaśmiała się Paisley.  
– Hej, Maxine, jak tam dzieci? Boże, ona jest coraz grubsza. Chyba lada dzień będzie się szczeniść.

Bobby napełnił miskę gulaszem i postawił na podłodze. Maxine dobrała się do jedzenia, cały czas machając ogonem. Chłopak wrócił na swoje miejsce przy stole.

– Tego tylko tu brakuje – skomentował wesoło John-Trevor. – Kręcących się wszędzie szczeniaków.

– Za parę dni sam to zobaczysz – żywo powiedziała Paisley. – Maxine przybłąkała się sześć czy siedem miesięcy temu i już została. Bobby wybrał jej imię.

– Dlaczego Maxine? – John-Trevor spytał Bobby'ego. Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pasowało. Wygląda na wiecznie zadowoloną, jak Maxine. To świetny pies. Królowa brzydactw, ale nie przeszkadza mi to. Nigdy jeszcze nie miałem psa.

John-Trevor poklepał sukę po boku.

– Będziesz miała niedługo śliczne szczeniaczki.

– Przewinę drut w pudełku kontrolnym – odezwał się profesor po raz pierwszy, odkąd usiedli do stołu. – I może nawoskuje narty, silnik będzie pracował z mniejszym

obciążeniem. Tak, doskonale. Muszę wracać do pracy. –  
Zerwał się i wybiegł do swojej pracowni.

– Wolniej, profesorze – zawołała za nim Paisley. –  
Gotowi na deser?

Gracie upiekła szarlotkę.

„Dom wariatów – pomyślał John-Trevor. – Jeśli ktoś  
nie był stuknięty, wchodząc do tego domu, to z pewnością  
będzie po spędzonej tu godzinie. Co za pomyłeńcy! Ale  
przynajmniej kochają się jak rodzina. A atmosferę ciepła,  
troski i życzliwości roztacza Paisley”.

Rozkoszna Paisley Kane.

## Rozdział 3

Po opchaniu się olbrzymimi kawałkami szarlotki wszyscy, oprócz nieobecnego profesora, zabrali się za sprzątanie kuchni.

„Bobby najwyraźniej zdecydował się na zawieszenie broni” – pomyślał John-Trevor, odkładając masło na miejsce. Chłopak przestał być nieznośnie wrogi, ale nie odzywał się i traktował detektywa jak powietrze.

Gdy kuchni przywrócono jej dawny wygląd, Bobby wraz z towarzyszącą mu Maxine skierował się na schody, zaś Gracie oznajmiła, że czas na jej ulubiony program telewizyjny i również zniknęła na górze.

John-Trevor podjął się dorzucenia drewna do ognia w kominku i po chwili jasne płomienie zaczęły rzucać ciepłe blaski na cały pokój. Paisley usiadła na kanapie, John-Trevor zaś pozostał przy ogniu, opierając się o gzyms kominka.

„Muszę to dobrze rozegrać” – powiedział sobie w duchu. Grunt już został przygotowany przez niebieskowłosą, dobroduszną Gracie, która zauważyła, że pogarszająca się z minuty na minutę pogoda raczej skłania do zaproponowania gościowi noclegu, niż wypuszczenia go na zewnątrz.

Spędzenie nocy w domu Paisley, próbował tłumaczyć sobie detektyw, da mu szansę zgromadzić więcej danych. Pozwoli też przebywać w jej przemiłym towarzystwie,

słyszeć śmiech dziewczyny, a może nawet dostarczyć mu okazji, by wziąć ją w ramiona, zachłysnąć się jej zapachem, jeszcze raz poczuć smak jej ust.

„Payton – upomniał sam siebie – dostałeś zadanie i masz je wykonać. Nic ponadto. Poznasz styl życia Paisley, zdasz raport pułkownikowi Blackstone'owi i pojedziesz do domu”.

Ponownie stanął mu przed oczami obraz jego mieszkania. I znowu wydało mu się puste, zimne i nieprzyjemne.

– Tak lubię ogień... – usłyszał głos Paisley i to sprowadziło go na ziemię. – Hipnotyzuje mnie. Myślę o tylu rzeczach...

– Na przykład? – spytał. – Co chodzi po głowie kobiecie, gdy ogień rzuci na nią swój czar?

Uśmiechnęła się i skierowała wzrok na trzaskające płomienie.

– Wszystko i nic. Wyobrażam sobie, że kupuję Bobby'emu warsztat samochodowy i Bobby okazuje się najlepszym mechanikiem w tym stanie. Myślę też o profesorze. Wynajdzie coś tak niezwykłego, że rozsławi to jego imię na cały kraj. Widzę ogromną kuchnię dla Gracie, pełną nowoczesnego sprzętu i wszelkich możliwych urządzeń.

– A ty, Paisley? Nie chcesz niczego dla siebie? Wzruszyła ramionami.

– Mam wszystko, czego mi trzeba.

– A ten wyśniony mężczyzna i gromadka dzieci?

– To już zależy od losu. Myślenie o tym niczego nie zmieni. Mój witraż też nic nie pomoże. Chciałabym kochać i być kochaną, ale spoczywam lekko na tym marzeniu, bo może się nigdy nie spełnić.

Paisley zapatrzyła się w ogień, zaś John-Trevor powtórzył:

– Spoczywam lekko na marzeniu? To brzmi raczej niezwykle. Nie słyszałem, żeby ktoś tak mówił. Co to właściwie znaczy?

– No więc... – zaczęła Paisley, ale zaraz umilkła. Tylko nieliczni znali sekret witrażu jej matki.

Zamyśliła się. Było to coś tak wyjątkowego, że niechętnie zwierzała się z tego obcym. Ale z przyczyny jej nie znanej chciała podzielić się z Johnem-Trevorem tą tajemnicą, wydało jej się nawet, że postąpi niewłaściwie, jeśli tego nie zrobi.

Podniosła głowę i spotkała jego wzrok. Na twarz wypłynął jej pełen zadumy uśmiech.

– Spoczywać lekko na marzeniach – mówiła łagodnie – to dewiza, której mama uczyła mnie od dzieciństwa. Nazwała witraż swoją tęczą marzeń. Każdy kolor reprezentował jedno z nich, ale nigdy mi ich nie zdradziła.

– Mów dalej – poprosił John-Trevor ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy.

– Mama zawsze uważała, że marzenia są tak delikatne i kruche jak ten piękny witraż. Powtarzała, że przyjemnie jest oderwać się od ziemi i żyć marzeniami, ale od ich spełnienia nie powinno się uzależniać szczęścia. „Lekko

spoczywaj na marzeniach, Paisley – mówiła – tak aby nie roztrzaskały się jak szkło i były na swoim miejscu na inną okazję". – Przerwała na chwilę, by spojrzeć w ogień, po czym, patrząc na Johna-Trevora, dokończyła: – Więc owszem, dotykam witrażu, gdy wchodzę do domu, bo stanowi więź z mamą, ale opieram się o niego delikatnie, gdyż teraz jest moją tęczą marzeń.

Gardło Johna-Trevora ścisnął nagły skurcz. Nie był mężczyzną, który łatwo płacze, ale teraz poczuł, jak łyzy nabrzmiwiają mu pod powiekami. To śmieszne. Tylko dlatego, że Paisley opowiedziała mu historię z życia swojej matki i mówiła o kruchości marzeń tak miękkim głosem i z takim uczuciem w oczach, że chciał, by każde z nich spełniło się...

Odchrząknął.

– To piękna opowieść – powiedział. – Spoczywaj lekko na marzeniach. To dobra rada. Znam ludzi, którzy żyją czystą fantazją, bo nie mają odwagi stawić czoła rzeczywistości. A marzenia nie zostały stworzone, by imitować życie, ale je upiększać. Twoja matka była bardzo mądrą kobietą.

– Wiem. – Oczy Paisley zamglily się, jakby uniosło ją morze wspomnień. Zaraz jednak zamrugła i wzięła głęboki oddech.

– Teraz ty. Opowiedz o tym mężczyźnie, którego szukasz. „O jakim mężczyźnie? – pomyślał niespokojnie detektyw. – Do diabła, pewnie chodzi o tego, którego wymyśliłem jako pretekst swojego pobytu w Denver”.

Zdażył już zapomnieć o tych bzdurach.

– Jak wygląda? – pytała niecierpliwie. – Mogę ci pomóc go namierzyć. To takie ekscytujące. I nie złość się, nie zrobię niczego głupiego. Nie spróbuję go aresztować, tylko natychmiast cię zawiadomię. Wysoki, niski, gruby, zarośnięty, jaki?

„Skąd mogę, do cholery, wiedzieć” – denerwował się John-Trevor.

– To dureń. Wiesz, taki niski, szczupły, łysiejący typek. Koło czterdziestki. Nosi grube okulary, ma końskie zęby. Zawsze jest ubrany w spodnie w kratę. Tak, w kratę.

– Nie tak wyobrażałam sobie nikczemnego łajdaka. Ale łotr to łotr. Nadal mnie interesuje. Powiedz coś jeszcze o nim.

– Ma katar sienny – zapędzał się detektyw. – Wiosna, lato, bez różnicy, zawsze trzyma w ręku chusteczkę, dmucha nos i przeciera oczy. Bardzo nieprzyjemna alergia.

– Może wziął sobie pieniądze, by jeździć po świecie i szukać cudownego lekarstwa – snuła przypuszczenia Paisley. – Był zdesperowany, nie mógł dłużej znieść tego wiecznego kataru. Biedak! Ale fakt pozostaje faktem, przywłaszczył sobie cudzą własność. Będę uważała na niego.

– Trudno mi wyrazić swą wdzięczność – odparł John-Trevor chichocząc.

Uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy jego spojrzenie napotkało duże, czarne oczy. Jak zahipnotyzowany zaczął



powoli zbliżyć się do dziewczyny, nie zdając sobie z tego sprawy. Po chwili jednak raptownie się zatrzymał, gdyż drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem i stanął w nich profesor.

– Paisley, przepraszam na chwilę. – Profesor już unosił jej stopę i oglądał podeszwę. Pokiwał głową i pozwolił jej opuścić nogę. – Taaak. Dziękuję.

– Bardzo proszę – odparła zyczliwie. Profesor, mrużąc coś pod nosem, już był za drzwiami. John-Trevor usiadł obok Paisley.

– Twój profesor jest szalony – skomentował.

– Nie szalony, tylko oddany swej pracy – poprawiła go.

– Na tym świecie żyje mnóstwo ludzi, którzy tylko czekają, aż wszystko samo wpadnie im w ręce i myślą, że to im się należy. Profesor ma swój cel i konsekwentnie do niego dąży. Podziwiam go za to i szanuję.

– Tak, masz rację. On się bez reszty poświęca. Mało już takich, ludzie wolą siedzieć z założonymi rękami.

– Wiesz, co mówiła mama? Że nie posiada wiele, ale to, co ma, zdobyła uczciwą, ciężką pracą i jest z tego dumna.

– Twoja matka to niezwykła kobieta. Szkoda, że jej nie znałem. – Przerwał na chwilę. – Paisley, a co z twoim ojcem? Nigdy o nim nie wspomniałaś.

– Nie wiem, kim jest. Mama nie zdradziła mi tego. Nie wyszła za męża, bo nie chciała utracić niezależności. Opowiadała, że ojciec był wspaniałym, delikatnym, troskliwym i przystojnym mężczyzną. Bardzo go kochała. Gdy się rozstali, stosunki między nimi stały się

oczywiście napięte. Ojciec, jako niesamowicie bogaty człowiek, sądził, że nakłoni mamę do małżeństwa przy pomocy pieniędzy. Przestrzegala mnie setki razy, bym nie dała omamić się bogactwu, temu co ono oferuje i żebym zawsze pozostawała w zgodzie z własnym sumieniem.

– Rozumiem – rzekł John-Trevor.

– Gdyby ojciec nie miał tych pieniędzy, może... mama... Nie wiadomo. Wiem tylko, że kochała tylko tego mężczyznę, a on dał jej dwa najcenniejsze skarby – witraż i mnie.

– Nie miałaś pretensji, że nie powiedziała ci, kim jest twój ojciec?

– Pretensji? Nie. Często chciałam móc zobaczyć go, choćby z daleka, dowiedzieć się, jak wygląda, zamiast wymyślać sobie jego obraz. Gdy poznał mamę, nie był już pierwszej młodości, miał prawie pięćdziesiąt lat. W wyobraźni stworzyłam setki jego portretów, ale... – Potrząsnęła głową. – To bezsensowne. Jestem dzieckiem poczętym z miłości i to mi wystarcza. Właściwie tak jest nawet lepiej.

– Dlaczego lepiej?

– Myślę, że jeśli nadal ma tyle pieniędzy, może starać się kupić moje uczucia, tak jak dwadzieścia pięć lat temu mamę. Oczywiście nie zamierzał jej urazić, ale tak to odebrała. Nie ma żadnej gwarancji, że wyciągnął z tego wnioski. Będzie bezpieczniej, gdy go nie poznam.

„Nieźle – skrzywił się John-Trevor. – Wszystko się płacze. Ma ojca wystarczająco bogatego, by spełnił każde

jej życzenie. Paisley może za to wnieść słońce i radość w życie starego pułkownika. Co Blackstone ma zrobić w tej sytuacji? Jaką decyzję podjąć? Powiedzieć jej o sobie?"

– Chyba już pójde – odezwał się po chwili detektyw. – Mój wynajęty samochód zamieni się niedługo w bryłkę lodu. Zostawiłem go kilometr stąd. „Tylko spokojnie, Payton. Dobrze to rozegraj”. – Możesz udzielić mi wskazówek odnośnie jazdy w tej pogodzie? Jestem z Kalifornii i nie orientuję się w tutejszych warunkach. – „Dobre zagranie, teraz kolej na Paisley”. Powinna zaproponować mu pokój gościnny. Sprytnie to wymyślił!

Zmarszczyła czoło.

– Lepiej nie ryzykuj. To nie prószący śnieżek, tylko zamieć. Myślę, że...

– Tak? – zapytał niewinnym głosem, unosząc brwi.

– ... że powinieneś zadzwonić po taksówkę i pojechać nią do hotelu. Nie próbuj sam prowadzić w taką pogodę.

– Taksówkę – powtórzył. – Dobrze. – „Cholerny świat, tego nie przewidział. ” – Mogę skorzystać z telefonu?

– Jasne. Wisi w kuchni.

Po chwili John-Trevor był z powrotem w pokoju.

– Przyjedzie za jakieś czterdzieści pięć minut – powiedział. – Mają dzisiaj dużo wezwań.

„Hurra!” – ucieszyła się Paisley. Nie chciała, żeby John-Trevor już sobie poszedł. Na samą myśl o jego wyjściu, nie wiadomo dlaczego, poczuła wewnętrzną pustkę i chłód. Zdała sobie sprawę, jak bardzo pragnie, by detektyw został tu w jej domu jeszcze przez jakiś czas.

– Świetnie, możemy więc porozmawiać – stwierdziła, uśmiechając się promiennie. – Opowiedz mi o swoich braciach. Lubiliście się jako dzieci?

John-Trevor był zmieszany.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo dopiero cię poznałam i chcę wiedzieć o tobie jak najwięcej.

– Ale dlaczego?

– Mama zawsze powtarzała, że ludzie chętnie narzekają. Skarżą się, że ich życie nie jest tak zajmujące, jak by chcieli, że nie podróżują, nie mieszkają ciekawych przygód. „To niemądre – mówiła mama – nie zdają sobie sprawy, że każda spotkana osoba to przygoda, niewyczerpane źródło nowych doświadczeń”. Bardzo lubiła zawierać znajomości. „Życie to ludzie, a ludzie to życie”.

– Powiedziałem już, że twoja matka była wspaniałą kobietą i podtrzymuję to – rzekł cicho John-Trevor. – Musi ci jej bardzo brakować.

– Bardzo. Gdy zginęła, miałam dziewiętnaście lat i nie wyobrażałam sobie życia bez niej. Ale nie podejrzewałam nawet, ile mam siły. Ciągle brakuje mi jej, ale zostało przecież tyle pięknych wspomnień.

– Dlaczego przeniosłaś się do Denver? Z Paryża do Kolorado?

– Mama zostawiła mi ten dom w testamencie. Nie wiedziałam wcześniej o jego istnieniu. Ale był jeden warunek. Nie otrzymam aktu własności, póki nie zobaczę

domu. Potem mogę wybrać. Zamieszkać w nim, czy sprzedać.

– Ciekawe, dlaczego chciała cię tu sprowadzić?

– Na początku sądziłam, że miała w tym jakiś cel. Ale teraz, po latach, wydaje mi się to głupie. Po prostu dała mi możliwość poznania jej ojczyzny, której inaczej nigdy bym nie zobaczyła.

– I zdecydowałaś się zostać... Paisley przytaknęła.

– Przyjechałam wiosną. Akurat pojawiły się kwiaty i było tu tak pięknie. Pokochałam dom od pierwszego wejrzenia. Domyślasz się, co zrobiłam na początku? Wprowadziłam w drzwi witraż. W Paryżu ciągle zmienialiśmy mieszkania. Mama uwielbiała nowe miejsca, nowych ludzi. Nie było łatwo znaleźć pokój, ale ona miała tylu znajomych, że zawsze akurat ktoś słyszał o wolnym mieszkaniu na Montmartrze, Montparnassie czy na Left Bank. Te ciągłe zmiany podniecały mnie, ale z drugiej strony trudno było... W każdym razie przyjechałam tu, bo chciałam mieć poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Wiesz, tę świadomość, że możesz zostać, ile tylko chcesz.

– Paisley, jesteś szczęśliwa?

– Tak. Oczywiście.

– Zaraz, poczekaj. – John-Trevor podniósł rękę w proteście. – Nie odpowiadaj tak szybko, tak automatycznie.

– Nie umiem inaczej. Wiem, kim jestem i czym jest moje życie. – Wzruszyła ramionami. – I naprawdę jestem

szczęśliwa.

– No dobrze, a gdyby wszystko raptownie się zmieniło? Gdybyś... O, na przykład wygrasz jakąś nagrodę, miliony dolarów. Kupienie warsztatu dla Bobby'ego i nowy sprzęt kuchenny dla Gracie to tylko kropla w morzu. Pomyśl o całkowicie innym stylu życia. Nie musiałabyś pracować. Mogłabyś kupić ogromny dom, pozwolić sobie na najlepsze ubrania, futra, biżuterię. Podróżować po świecie. Bez obowiązków, wysiłku. Czy byłabyś wtedy szczęśliwa?

Zaśmiała się.

– Nie sędzę. Musiałabym utrzymywać kontakty z tymi strasznymi bogaczami, którzy ciągle mówią do siebie „kochanie”. Nie zniosłabym tego.

– Paisley, ja mówię poważnie!

– Johnie-Trevorze, moja wyobraźnia ma swoje granice a styl życia, który opisałeś, jest poza jej zasięgiem. Mama nauczyła mnie, jak być zadowoloną z tego, co się ma. Wróćmy lepiej do rzeczywistości. Opowiedz mi o sobie.

„Do diabła” – zacisnął pięści, próbował właśnie rozmawiać z nią o rzeczywistości.

– Dlaczego tak się upierasz przy kawalerstwie? – spytała niespodziewanie Paisley.

John-Trevor otworzył usta, ale nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Interesuje cię to?

– Wiesz już wszystko o mnie, więc teraz przyszła kolej na ciebie. – Przechyliła lekko głowę. – Nie żenisz się, bo

jesteś przystojny. Możesz zmieniać kobiety równie często jak koszule, prawda? Lubię te wasze amerykańskie porównania, są takie trafne.

John-Trevor poczuł, że oblewa się rumieńcem.

– Na miłość boską, nie będę z tobą rozmawiał o innych kobietach.

– Z pewnością zdajesz sobie sprawę, jakie wrażenie na nich robisz. To oczywiste jak to, że... dzień jest długi. – Zmarszczyła brwi... – Niezbyt to rozumiem, ale tak się u was mówi, prawda? W każdym razie – kontynuowała wesoło – na pewno spotkałeś wystarczająco dużo kobiet, które...

– Paisley, przestań – przerwał jej desperacko. – Nie chcę się ożenić, bo to czyni odpowiedzialnym za uczucia i szczęście drugiej osoby. Dziękuję, wolę troszczyć się tylko o siebie i odpowiadać tylko przed sobą. Poza tym, gdybym się zaangażował, traktowałbym wszystko za bardzo emocjonalnie i... Nie, w żadnym razie. Nie ja.

– A jeśli się zakochasz?

– Nie mam takiego zamiaru. W porządku? Koniec dyskusji?

Nachyliła się do niego.

– Zapominasz o przeznaczeniu. Jeśli jest ci pisane zakochać się, nie będziesz miał nic do powiedzenia. Raz, dwa – strzeliła palcami. – Nawet nie zauważysz, kiedy wpadniesz.

– Nie ma szans – mruknął zniecierpliwiony. Oparła się wygodniej i lekko się uśmiechnęła. John-Trevor zerknął

na nią podejrzliwie.

– Co ma znaczyć ten uśmieszek? Jeśli zdecydowałem, że się nie zakocham, co jakiś czas temu miało miejsce, to tak będzie. Jasne?

– Skoro tak uważasz... Jęknął i utkwiał wzrok w suficie.

– Jesteś nieznośna, Paisley. Przycisnęła rękę do piersi. – *Moi?*

– O nie, nawet nie próbuj tych sztuczek z francuskim. Rozmowa z tobą i tak jest wystarczająco obłądna.

Roześmiała się i raz jeszcze w Johnie-Trevorze obudziło się pożądanie. „Boże drogi – westchnął – kobieta doprowadza mnie do szału”. Czuł bolesne napięcie w całym ciele, a pragnienie dotknięcia jej stało się tak intensywne, że święty miałby kłopoty, by je przezwyciężyć.

Szybko przemierzył pokój i ukląkł przy kominku. Zaczął przesuwając pogrzebaczem rozżarzone bale.

Paisley obserwowała uważnie, czy John-Trevor usłyszał jej ciche westchnienie. Zafascynowana była widokiem jego silnej ręki i zaczęła w niej wzbierać tęsknota, by poczuć tę dłoń na włosach, na skórze. Nie mając siły dłużej walczyć ze swoim drugim "ja" podsuwającym jej te wizje, przeniosła wzrok z ręki na szczupłe pośladki i dobrze zbudowane uda. Na szczęście właśnie wtedy się poruszył, by dorzucić do ognia. Teraz, w blasku padającym od kominka, widziała jego twarz o twardych rysach.

„Jest bardzo przystojny” – rozmyślała Paisley i czuła



się tak dobrze u jego boku. Zawsze brakowało czegoś w tym domu, w jej życiu, i teraz obecność Johna-Trevora wypełniła tę lukę.

„Paisley, daj spokój” – przemawiała do siebie. Odkąd tylko pamięta, zawsze jej matka radziła, by sprawy serca zostawiać przeznaczeniu.

„Tak – przekonywała samą siebie – ale czy to nie dzięki przeznaczeniu silnik zepsuł się właśnie wtedy, gdy John-Trevor szedł ulicą? To spotkanie musiało być zaaranżowane przez los”.

Tylko że... John-Trevor nie potrzebował miłości, spełnienia, małżeństwa i dzieci. Czy los nie wziął tego pod uwagę? Cóż, zdecydowała, trzeba pomóc przeznaczeniu. Musi przecież dowiedzieć się, czy John-Trevor jest tym mężczyzną na całe życie, czy nie.

Mężczyzna, o którym mowa, właśnie odłożył pogrzebacz i usiadł na sofie obok niej.

– Słuchaj – zaczęła Paisley. – Jutro jest niedziela. Mam nadzieję, że nie zasypie nas śnieg i nie zamarzniemy. W Denver można zobaczyć mnóstwo ciekawych rzeczy, a niedziela to właśnie mój dzień wypraw. Chciałbyś się przyłączyć? Oczywiście, jeśli pogoda będzie znośna.

John-Trevor poczuł się jak człowiek stojący na granicy grząskich błot, który jest tak nierozważny, że właśnie robi krok naprzód. Paisley igrała z jego umysłem i ciałem i powinien jak najszybciej wprowadzić w ich znajomość niezbędny dystans.

„Ale przecież nie mógł” – przekonywał sam siebie.

Pracował dla pułkownika Blackstone'a i musiał zebrać więcej informacji, uzyskać lepszy obraz Paisley. Spędzi więc z nią ten dzień. Oczywiście w ramach obowiązków.

– Z przyjemnością się z tobą przejdę po Denver – odpowiedział więc. – Będiesz moim przewodnikiem. Bierzesz odpowiedzialność za to, że nie zamarzę w czasie tego spaceru?

– No dobrze. – Zaśmiała się. – Biorę.

Przez kilka następnych chwil patrzył na nią w milczeniu. W końcu spytał:

– Paisley, czy każdemu szkiełku w witrażu przypisałaś jakieś marzenie?

– Nie – odparła. – Mam wiele marzeń, ale tylko kilka z nich związałam z witrażem.

– I spoczywasz na nich lekko? – Tak.

– Sądysz, że pragnienia twojej matki się spełniły?

– Nie wiem, nigdy mi ich nie zdradziła.

– Podobnie jak imienia ojca. Czoło Paisley się zmarszczyło.

– Johnie-Trevorze, czy fakt, że mama nie wyszła za tatę, ma dla ciebie jakieś znaczenie? To, że nie noszę jego nazwiska?

– Nie, Paisley. Nie o to chodzi. Po prostu rozwiązywanie tajemnic i zagadek to mój zawód. Interesują mnie pytania bez odpowiedzi. Może mógłbym ci pomóc ustalić tożsamość ojca?

– Dziękuję, nie chcę. Po tych wszystkich latach... Nie.

– W porządku, ale dobrze to przemyśl. Ten człowiek

ma córkę, uroczą młodą kobietę, w której stworzeniu miał swój udział. Czy on nie ma prawa wiedzieć, że istniejesz?

– Johnie-Trevorze, rozmawiamy o dalekiej przeszłości. To było dwadzieścia pięć lat temu. Imię Kandi Kane prawdopodobnie nic już ojcu nie mówi. Z pewnością ma żonę i własną rodzinę.

– A jeśli nie? Jeśli nadal jest sam? Nigdy nie zapomniał o Kandi Kane i miłości do niej? Może pojawienie się córki w jego życiu da mu ogromną radość i szczęście? Pomyślałaś kiedyś o tym?

Paisley ponownie zmarszczyła brwi i zanim odezwała się, przez chwilę patrzyła z uwagą na Johna-Trevora.

– Próbujesz mnie przekonać, że egoistycznie uchylam się od odszukania go i zawiadomienia o moim istnieniu? Że jestem mu to winna?

– Nie to miałem na myśli. Nie zarzucam ci niczego. Staralem się spojrzeć na twoją sytuację z drugiej strony. – Właściwie to, co teraz robił, było popychaniem sprawy w dość niewłaściwym kierunku. Zmuszał Paisley do obrony i nastawiał ją negatywnie do nie znanego ojca. Cholera. – Zapomnij o tym, Paisley. Tak tylko powiedziałem.

– Och. – Siedziała milcząca, z zaciśniętymi ustami. – Nigdy nie patrzyłam na to z drugiej strony. Ani przez chwilę. Zaakceptowałam decyzję mamy bez zastrzeżeń. A teraz czuję... że na horyzoncie pojawił się ojciec i powinnam wziąć pod uwagę I jego prawo do mnie. To wszystko jest dosyć skomplikowane.

– Hej, nie zamartwiaj się tak – powiedział łagodnie

John-Trevor. – Nie myśl już dzisiaj o tym, dobrze?

Nie odpowiedziała, patrzyła martwo przed siebie.

– Paisley? Proszę cię, daj spokój.

– Słucham? – Spotkał jej wzrok. – Cóż, mam się nad czym zastanawiać... O, chyba słyszę twoją taksówkę, ktoś trąbi przed domem.

Oboje wstali. Paisley odprowadziła go do drzwi. John-Trevor założył kozuch i tęsknym ruchem położył rękę na jej szyi. Przyciągnął ją do siebie i przywarł do niej w pocałunku, od którego zabrakło im tchu.

– W południe? Jutro? – szepnął tuż przy twarzy Paisley.

– Tak. Tak – odpowiedziała. – Dobranoc, Johnie-Trevorze. Wyszedł, ale jeszcze długo Paisley stała nieruchomo przy drzwiach, wpatrując się w szklany witraż.

## Rozdział 4

Kilka godzin później John-Trevor leżał w łóżu o królewskich rozmiarach i wpatrywał się w ciemność. Przewracał się z boku na bok tak długo, aż poczuł ból i napięcie we wszystkich mięśniach. Mimo to sen nie nadchodził.

Łóżko było bardzo wygodne, jak na hotelowe warunki przystało. Czuł się syty i było mu ciepło, powinien więc spać jak niemowlę. Jednak nie mógł opanować natłoku myśli i uspokoić chaosu w głowie. Powodem jego bezsenności była Paisley.

Widział ją tak dokładnie, jak gdyby stała tuż przed nim, uśmiechając się i połyskując oczami. Niemalże słyszał jej dźwięczny śmiech, wdychał jej specyficzny zapach będący połączeniem świeżego powietrza i kwiatów, czuł słodką wilgoć jej ust.

Jęknął i przekręcił się na łóżku. Chęć, by opleść jej ciało i złączyć się z nim w jedno, wzrastała stokrotnie, odkąd pocałował ją na do widzenia. Ale fizyczne pożądanie nie było jedyną tamą nie dopuszczającą do niego okrętu snu. Spokój jego umysłu zakłócały nie znane dotąd, niepokojące uczucia.

Pragnął opiekować się Paisley, powstrzymać każdego, kto chciałby ją skrzywdzić. Czuł, że dotąd skryta głęboko potrzeba bycia tym jedynym, unosi swą głowę. Myśl, że inny mężczyzna mógłby **jej** dotknąć, przytulić, całować,

rozwścieczała go.

I nagle, w samym środku tego bałaganu, jakim był obecnie jego umysł, pojawiła się kolejna osoba – pułkownik Blackstone, przypominając mu o zadaniu, które miał wypełnić.

– Jasna cholera – wymamrotał po raz kolejny.

Wyrzuciwszy z siebie kilka następnych przekleństw, zamknął oczy i pozwolił, by wreszcie owładnęła nim otepiałość zwiastująca sen.

Paisley powoli otworzyła oczy i znalazła się w wypełniającym pokój słonecznym blasku. Zadowolona przeciągnęła się. Nagle przypomniała sobie wczorajszy wieczór i dreszczyk podniecenia przebiegł po jej ciele. Jeszcze kilka godzin i zobaczy się z Johnem-Trevorem. Spędzą razem popołudnie. „To będzie cudowne” – pomyślała.

Usiadła na łóżku i nakazała sobie nie rozmarzać się za bardzo. Jeśli nawet to los zetknął ją z Johnem-Trevorem, nie oznacza to od razu, że są dla siebie stworzeni i że zmieni jego zapatrywania na małżeństwo.

Z drugiej strony, rozmyślała dalej, byłoby przyjemnie, gdyby John-Trevor okazał się tym mężczyzną. W końcu od tylu lat chodziła na randki i nikt nie rozbudził w niej czegoś więcej niż przyjacielskie zainteresowanie, nie mówiąc już o seksualnej fascynacji. Przyrównanie jej uczuć do tamtych chwilowych sympatii i do Johna-Trevora było jak umieszczenie pokazu fajerwerków obok blasku Supernowej. *MonDieu*, co się z nią działo pod

samym dotykiem tego mężczyzny?

Dosyć tego, Paisley. Jeśli będziesz przez cały ranek myślała o Johnie-Trevorze, nie starczy ci sił, by później móc cieszyć się jego towarzystwem.

A zapowiada się uroczy dzień, tym piękniejszy, że spędzi go z Johnem-Trevorem Paytonem.

Wzięła prysznic, umyła włosy, potem założyła śnieżnobiałe spodnie i sweter. Dwie szyfonowe szarfy, jedną blad różową, drugą o odcień ciemniejszą, splotła razem i owinęła nimi szyję. Wolne końce spływały na sweter, tworząc kolorystyczne akcenty.

Na lekki makijaż składały się muśnięcia różem, pudrem, cieniami i szminką. Pewną ręką podkreśliła oczy i nadała skórze ciemniejszy odcień, pamiętając naukę matki – malować się należy subtelnie i delikatnie.

Kiedy schodziła po schodach, jej wzrok padł na witraż. Słońce, wlewające się przez kolorowe szkła, rozsiewało wesołe tęcze po ścianach i podłodze.

„Czy wolno jej łączyć siebie i Johna-Trevora w parę – zastanawiała się – i zakląć to pragnienie w któreś ze szkieł witraża?” Nie, nie powinna tego robić. Gdyby nawet rzeczywiście lekko spoczywała na tym marzeniu, było ono zbyt osobiste, zbyt ważne i gdyby omyliła się co do osoby Johna-Trevora, pozostałaby ze złamanym sercem.

– Och, *Maman* – wyszeptała. – Życie czasami jest takie skomplikowane...

John-Trevor kierował się do domu Paisley. Minał właśnie furtkę i zatrzymał się na ganku.

„Przy odrobinie szczęścia – pomyślał – Bobby, Gracie i profesor będą zajęci tym, czym zwykle zajmują się w niedzielne popołudnie. Chciałbym, żeby nie było ich w zasięgu wzroku, kiedy Paisley otworzy mi drzwi. Pragnę wziąć ją w ramiona i pocałować, gdy tylko ją zobaczę”. – Z tą myślą obudził się, a mijające godziny dodały jej intensywności.

„Poza tym – mówił sobie Payton – spójrzmy na to popołudnie z praktycznego punktu widzenia. Zwiedzanie Denver z Paisley doskonale mieści się w moich służbowych obowiązkach. Będę mógł dokładniej ją poznać, lepiej wybadać. Dowiem się, czego może brakować jej w sprawach materialnych, jakie życzenia nie mogą się ziścić z powodu obecnej sytuacji finansowej. Ale przecież zasadniczy cel wyprawy nie koliduje z jeszcze jednym pocałunkiem. Tylko jednym... ”

Nacisnął dzwonek i zamrugał w zdziwieniu, słysząc pierwsze takty „Here Comes Peter Cottontail”. W chwilę potem w otwartych drzwiach stanął Bobby.

„Nieźle jak na początek” – pomyślał John-Trevor.

– Cześć, mały.

– Pewnie chciałbyś wejść. – Bobby zrobił mu miejsce w drzwiach. John-Trevor wszedł do środka i rozpiął guziki kożucha.

– Nie przejmuj się, ja nie na długo – powiedział, zauważając spojrzenie chłopaka. – Dzwonek grał „Here Comes...?”

– Tak. Profesor to wymyślił. A potem dowiedział się,



że muzyczne dzwonki produkuje się już od lat, więc zostawił tę robotę.

– Aha. A jak sobie radzi z nartami?

– Tak sobie. Miał je nawoskować. Dostał od jakiegoś faceta pszczeleli wosk. Wosk był z miodem i teraz narty lepią się jak końskie gówno.

John-Trevor z uśmiechem pokiwał głową.

– Ale ten profesor ma pomysły. A gdzie Gracie?

– Szykuje się na bingo. Ma fioła na punkcie gier. Naszykowałem jej ubranie, żeby dobrze wyglądała: błękitny sweter i spodnie. Pasują jej do włosów, tak że jest w jednym kolorze od stóp do głów.

Uśmiechnięta twarz Johna-Trevora spoważniała.

– Bywasz całkiem miły, Bobby, gdy się postarasz. Po co marnujesz tyle czasu i energii, udając gorszego, niż jesteś.

– Nie pozwalaj sobie, Payton. – Oczy Bobby'ego się zwięziły. – I posłuchaj mnie uważnie. Jeśli zrobisz coś złego Paisley, będziesz miał ze mną do czynienia. Możesz być silniejszy ode mnie, ale i tak cię dopadnę.

– Nie mam wcale zamiaru jej skrzywdzić.

– Ona od rana zachowuje się, jakby coś ją naszło. Jakby miała jakiś sekret. Śmieje się, choć nie ma z czego. Ma takie duże i rozmarzone oczy jak ktoś, kto jest szczęśliwy. Nie wiem, co zaszło między wami, ale jeśli przez ciebie będzie smutna...

– Cześć. – Paisley pojawiła się na końcu korytarza, przy kuchni. – Dzień dobry, Johnie-Trevorze – szepnęła, idąc

w jego kierunku. W ciemnozielonym swetrze i szarych spodniach wyglądał świetnie. Paisley była bardzo, bardzo szczęśliwa, że znów go widzi. – Mam nadzieję, że miło się wam rozmawiało? – spytała, zerkając na Bobby'ego, potem na Johna-Trevora.

– Uroczo – odparł detektyw. – Paisley, ślicznie wyglądasz. Możemy już iść?

– Tylko włożę płaszcz. – Wskazała na wieszak. John-Trevor podał jej ubranie, potem sięgnął do klamki.

– Baw się dobrze, Bobby. Jak zwykle idziesz do siłowni? – spytała przed wyjściem.

– Tak. – Po chwili Bobby dodał: – A ty, Payton, pamiętaj, że cię ostrzegałem.

John-Trevor postanowił zignorować tę zaczepkę i razem z Paisley opuścił dom.

– Co on ci takiego powiedział? – chciała wiedzieć Paisley, gdy szli do samochodu.

– Ten chłopak myśli, że ma do ciebie wyłączone prawo – wyjaśnił John-Trevor. – Że jest twoim osobistym strażnikiem, obstawą.

– Ach, tak. Troszczy się o mnie, jak brat. Tworzymy przecież rodzinę. Nic dziwnego, że czuje się za mnie odpowiedzialny. Bądź dla niego wyrozumiała.

– Dobrze, Paisley.

„Tworzymy rodzinę – John-Trevor powtórzył słowa dziewczyny, kierując się do centrum miasta. – To świetnie, ale za kulisami czeka jeszcze jeden nie znany członek rodziny. Jej ojciec”.

„I co miały znaczyć – zastanawiał się, zatrzymany przez czerwone światło – słowa Bobby'ego o niecodziennym zachowaniu się Paisley?" Chyba... nie jest w nim zakochana? To byłoby cudowne, fantastyczne. Nie, do diabła – straszne. Boże, nie mógł w ogóle zebrać roztańczonych myśli.

Próbował zepchnąć wszystkie pragnienia w najdalszy zakątek umysłu i skupić się na jeździe. Denver było intrygującym połączeniem tego co stare i nowe. Drapacze chmur o lustrzanych ścianach wyrastały tuż obok budynków z epoki wiktoriańskiej, które zapewne celowo utrzymywano w dobrym stanie, by oddać atmosferę dawnego Zachodu.

– Urocze miasto – odezwał się John-Trevor.

– Tak – potwierdziła dziewczyna. – Powinieneś zobaczyć Brown Hotel. Jest cudowny. Zbudowano go w 1892 roku, za czasów kopalń i rozkwitu miasta. A może chciałbyś obejrzeć jakąś wystawę?

– Z chęcią, Paisley.

– Muzeum Zachodniej Sztuki ma wspaniałą kolekcją dzieł Frederica Remingtona i Georgii O'Keeffe. Dokąd idziemy najpierw?

– Ty jesteś szefem – odparł, uśmiechając się do niej. – Dziś twoje życzenia są dla mnie rozkazem.

– Jak to miło. Rozpieszczasz mnie.

„To można wykorzystać” – błyskawicznie pomyślał John-Trevor.

– Zasługujesz, by cię rozpieszczano. Już widzę cię

pędzącą leniwe życie z gronem ludzi troszczących się o twój ziemski byt. To dałoby ci czas, który mogłabyś poświęcić na... mmmm... na robienie czegoś, na co masz ochotę.

– Skreć w prawo na skrzyżowaniu, miń dwie przecznice i skreć w lewo – wyrzuciła jednym tchem. – Co, twoim zdaniem, może robić ktoś, kto nie musi się o nic troszczyć?

– Nie mam pojęcia – powiedział odruchowo. – Nie, nie to miałem na myśli – poprawił się. – Spróbowałabyś zająć się czymś, czego nigdy nie robiłaś. Mogłabyś... nauczyć się robić na drutach.

– Ale ja już umiem.

– Och... – Zmarszczył brwi. – Naprawdę nie wiem, Paisley. Na świecie jest tyle bogatych, rozpieszczonych kobiet, które potrafią jakoś zapełnić sobie dzień. Chyba zajmują się działalnością charytatywną. To jest to. Pomagałabyś tym biedniejszym i mniej szczęśliwym.

– Już to robię. Nagrywam taśmy dla niewidomych, żeby książki mogły ich tak cieszyć, jak ludzi o dobrym wzroku. A właściwie dlaczego o tym rozmawiamy?

– Dlaczego? No tak... Bo... Bo ja zauważyłem, że bardzo troszczysz się o innych. Wiesz, chodzi o profesora, Gracie, naszego kochanego Bobby'ego. Brakuje ci możliwości, by skupić się na sobie, żyć pełnią życia, przeżywać ekscytujące przygody. Weźmy taki Paryż. Mogłabyś mieć mieszkanie we Francji, ten uroczy dom w Denver i może... powiedzmy, własne miejsce na plaży w

Kalifornii. Paisley zmarszczyła nos.

– To nie dla mnie. Czułabym się jak gość, który znalazł się tam z wizytą. Mówiłam ci już, zależy mi na poczuciu stabilizacji; zbyt często w dzieciństwie zmieniałam mieszkania. Jestem bardzo zadowolona ze swojego domu i nie zamieniłabym go na nic w świecie.

– Zaraz, nie śpiesz się tak. Lubisz zwierzęta. Maxine nie ma rodowodu, a mimo to zatrzymałaś ją. Pomyśl o ranczo, hodowałabyś konie, świnie czy coś innego.

Zaśmiała się.

– To śmieszne. Maxine zamieszkała z nami, bo nie miała dokąd iść. Lubię zwierzęta, ale na miłość boską, nie do tego stopnia, żeby założyć fermę. Johnie-Trevorze, każesz zabawiać mi się w „co by było, gdyby...”, ale spójrz na to tak: Czy gdybyś ty nagle stał się bogaty, rzuciłbyś pracę, zostawił przyjaciół, z którymi tyle lat dobrze się czułeś? Czym byś się zajmował przez całe dni?

– Ja... no...

– Zanudziłbyś się na śmierć.

– Masz rację. – John-Trevor przytaknął ze zrezygnowaniem.

– No widzisz. I nie chcę już o tym słyszeć.

– Paisley, nie można tak. Pomyśl o... nie, zapomnij o tym. Zaśmiała się.

– Pierwsze rozsądne słowa. Zaparkuj gdzieś tam na prawo.

Nie minęła nawet godzina, a John-Trevor czuł

kompletną frustrację. Stał obok Paisley, udając że podziwia obrazy i próbował ukryć grymas na twarzy.

Starał się ze wszystkich sił. Usiłował tak prowadzić rozmowę, by Paisley choć przez chwilę zastanowiła się poważnie, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby miała dużo pieniędzy. Wszystko na próżno.

Jeśli Kandi wybaczyła w końcu pułkownikowi Blackstone'owi, jej niechęć do bogactwa musiała być bardzo widoczna, skoro Paisley świadomie czy też nie, przejęła ją. Detektyw czuł, że utknął w martwym punkcie.

– O... – zdziwił się, unosząc wzrok. – Wydaje mi się, że to scenka z Paryża. Tu na obrazie. Przysiagłbym, że to Paryż.

Zbliżyli się do płótna wiszącego nie opodal.

– Och tak, poznaję! – Paisley była pod wrażeniem. – Znam tę ulicę. Widzisz tę małą kafejkę? Tyle razy jadałam tam z mamą i jej przyjaciółmi. – Uśmiechnęła się psotnie. – Wiesz, byłam strasznie rozpuszczona. Ci znajomi mamy traktowali mnie jak przyszłą królową Anglii. Większość z nich nie miała dzieci, więc cieszyli się, że mogą mnie rozpieszczać, a potem mama narzekała, że nie może sobie ze mną poradzić.

Johnowi-Trevorowi trudno było powstrzymać uśmiech, gdy wyobraził sobie ją jako ruchliwą, czarnowłosą i ciemnooką dziewczynkę, bawiącą się w którymś z paryskich parków.

– Wygląda na to, że miałaś szczęśliwe dzieciństwo?

– Tak. Bardzo.

– Wiesz, Paisley, gdy mówisz o Paryżu, słyszę w twoim głosie tęsknotę. Myślę, że brak ci go bardziej, niż okazujesz. Chcesz spędzić życie w Denver, ale mimo to Paryż tkwi w tobie. Jestem pewien, że mogłabyś mieszkać raz tu, raz tam i wciąż czuć się zadomowiona w obu miastach.

– Być może – odpowiedziała lekko. – Nie ma sensu zastanawiać się nad tym. – Odrzuciła głowę, by spojrzeć na niego. – Nie mogę pozwolić sobie na prywatny samolot latający między Denver a Paryżem.

– Dobrze, więc załóżmy, że...

Oczy Paisley nagle się powiększyły. Dziewczyna chwyciła połą marynarki Johna-Trevora.

– Cii... Nie odwracaj się. Zachowujmy się naturalnie. O mój Boże... !

– Co się dzieje?

– To on – szepnęła. – Ten oszust. Jest w spodniach w kratę.

– Kto?

– Człowiek, którego szukasz. Ogląda właśnie Remingtona w drugim końcu pokoju. Tak, to on. Spodnie w kratę, końskie zęby i wyciera nos. Nie ma tylko okularów. Może wydał część pieniędzy na szkła kontaktowe?

– Święci pańscy! – John-Trevor zrobił przerażoną minę. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Zamieńmy się miejscami, żebyś mógł go widzieć, ale na Boga, zrób to dyskretnie.

– Tak jest, szefie. – Po tych słowach John-Trevor uniósł lekko dziewczynę, okręcił się z nią, postawił z powrotem i zbliżył twarz do jej ust. Paisley przez chwilę patrzyła na niego oszołomiona, po czym westchnęła i zamknęła oczy.

Już w tej sekundzie, gdy ich wargi się zetknęły, John-Trevor wiedział, że popełnia błąd. Nie zamierzał wcale całować się z nią w środku muzeum. Ale skoro już do tego doszło, chciał, by trwało to w nieskończoność. Paisley rozchyliła usta, ich języki spotkały się i detektyw poczuł, jak tonie w falach pożądania, które uderzały w jego ciele z oszalamiającą siłą.

Natarczywy głos ostrzegający Johna-Trevora przed tym, co robi, ucichł i jego umysł wypełniła tylko jedna myśl: Paisley kocha go! Ich pocałunek stał się bardziej namiętny, a uścisk ramion wokół dziewczyny – silniejszy. Zarzuciła mu dłonie na szyję, wplątała je pieśczośliwie w gęste włosy. Oddawała się całkowicie jego niecierpliwym ustom.

Czuła się tak wspaniale, tak cudownie. Przeznaczenie pchnęło ją w ramiona Johna-Trevora wtedy na ulicy, ale teraz los potrzebował wsparcia. Ciąg dalszy ich znajomości będzie zależał od niej.

Z ogromnym wysiłkiem udało się Johnowi-Trevorowi oderwać usta od Paisley.

– Święty Boże – wymamrotał. – Musimy przestać. To nie jest właściwe miejsce i czas.

– Co takiego? – Dziewczyna powoli otwierała oczy. – Och! – krzyknęła cicho, wyzwalając się ze zmysłowej



mgły, która otulała ich niczym płaszcz. – Prosiłam, żebyś zachowywał się naturalnie.

Z niewinną miną odpowiedział:

– Właśnie to robiłem.

– Uhm. – Usiłowała przybrać srogą minę, ale nie wyszło to najlepiej. – Czy to on? Ten w spodniach? To twój drań?

– Ach, ten. Nie. Za wysoki, za młody i za dobrze zbudowany.

– No to się wygłupiłam... John-Trevor zachichotał.

– Lepiej chodźmy coś zjeść. Masz ochotę na bardzo kaloryczne lody z owocami? Te emocje związane z łapaniem, choć niezupełnie, łajdaka w spodniach w kratę pobudziły mój apetyt.

– Lody z owocami? To brzmi doskonale. – „Tak jak cały ten dzień” – pomyślała dziewczyna.

## Rozdział 5

Blackstone zasiadł w swoim ulubionym fotelu i skierował wzrok ku kominkowi, przed którym przechadzał się detektyw. Pułkownik wysłuchał młodego mężczyzny z uwagą, nie wtrącając żadnych pytań.

W końcu John-Trevor zatrzymał się i spojrzął na gospodarza.

– Tak wyglądają sprawy. – „No, w przybliżeniu” – dodał w myśli. Nie wspomniał ani słowem o pocałunkach, o silnych, nieznanych, rodzących się w nim uczuciach, o prześladowającym go natrętnym pragnieniu kochania się z Paisley. – Jest niepowtarzalną, wyjątkową młodą kobietą.

– Zupełnie jak jej matka – odezwał się pułkownik z zadumą. – Tak. W tym, co słyszę o Paisley, odnajduję wiele z Kandi. Tyle że Kandi była bardziej światową osobą, uwielbiała zmieniać mieszkania i mężczyzn i za nic nie wyrzekłaby się niezależności.

– Tym się różnią – oświadczył John-Trevor. – Paisley chce wyjść za mąż i urodzić gromadkę dzieci.

– Tak, mówiłeś o tym, ale ogólnie rysy charakteru zgadzają się. Drzwi Kandi zawsze były otwarte dla tych, którzy chcieli coś zjeść, przenocować lub po prostu wypłakać się. Czasem miałem jej to za złe, bo chciałem, żeby to mnie całkowicie poświęcała swój czas. Ale jak miałem to zmienić? Nauczyłem się akceptować ją taką, jaka była i kochałem ją jeszcze mocniej. – Westchnął. –

Gdybym tego wszystkiego nie zepsuł...

– Pułkowniku, jak pan już zapewne wywnioskował, bardzo trudno jest skłonić Paisley do rozważań o życiu z mnóstwem pieniędzy do jej wyłącznej dyspozycji. Daleko jej do fantazjowania, co mogłaby zrobić i jak mogłaby żyć.

– Tak, nasze grzechy mszczą się na nas, Johnie-Trevorze. Z czasem Kandi mogła zapomnieć o moim nietaktownym zachowaniu, gdy próbowałem skłonić ją do małżeństwa, ale z pewnością głęboko ją to zraniło. Nie zdając sobie z tego sprawy, wpoila Paisley ten sam pogląd na życie i pieniądze. To moja wina. Ale co się stało, nie odstanie się. Co mam teraz zrobić z Paisley?

John-Trevor potarł ręką kark.

– Nie wiem. Miałem przecież tylko gromadzić fakty.

– Och, zapomnij o tym. Pytam cię o radę.

– Pułkowniku, uczciwie mówiąc mnie mam pojęcia. Paisley jest zadowolona ze swojego życia. Ci ludzie wokół niej tworzą jej rodzinę. Ma wielu przyjaciół i różne zainteresowania. Dziś musiałem odwiedzić ją wcześniej do domu, bo miała jeść obiad z jakimś towarzystwem, które chce ratować życie wiewiórkom czy ptakom, czy... Z pewnością chciałyby jeszcze raz zobaczyć Paryż, ale nie czepia się kurczowo tego pragnienia. Mówiła, że jest szczęśliwa.

– I nie ujawniła żadnych tęsknot, marzeń, prócz ewentualnej wizyty w Paryżu? No i małżeństwa, i dziecka?

– Gromadki dzieci.

Pułkownik Blackstone uśmiechnął się łagodnie.

– Urocza. Moja córka jest po prostu urocza. John-Trevor, z rękami w kieszeniach dżinsów, zapatrzył się w ogień.

– Tak, jest cudowna – stwierdził zasepiony. – Nie spotkałem jeszcze kogoś takiego, pułkowniku. Przypomina powiew świeżego powietrza i blask słońca. I jest taka niewinna. Przeżyła tyle lat i jeszcze nigdy nie zawiodła się na ludziach. Gdy pan ogłosi ją swoją córką wartą miliony, stanie się obiektem pożądania każdego cwaniaka w kraju i będzie łatwo ją zranić.

– Nie, jeśli trafi na właściwego mężczyznę – odparł pułkownik. – Nic jej nie będzie, gdy ktoś stanie przy jej boku i zaopiekuje się nią, nie dopuści do niej żadnych łajdaków, którzy chcieliby wykorzystać to miękkie serduszko.

John-Trevor, gwałtownie wysuwając ręce z kieszeni, odwrócił się, by spojrzeć na Blackstone'a.

– A skąd pan zamierza wziąć tego mężczyznę? Z katalogu?

Pułkowniku, przecież jeśli nawet złoży pan oświadczenie w prasie, że Paisley otrzyma pieniądze po pańskiej śmierci, stado sępów i tak będzie krążyło, czekając na dogodną chwilę, by wziąć ją i całą resztę.

– Więc mam nie powiedzieć Paisley, kim jestem? Mam nie zmienić testamentu i wszystko przeznaczyć na cele charytatywne? Do diabła, Johnie-Trevorze, to moja córka,

moje ciało i krew, jedyna prawdziwie wartościowa rzecz, jaką zostawię po sobie na tym świecie.

– Ja niczego nie sugeruję – miotał się John-Trevor. – Za nic nie chciałbym wziąć na siebie tej decyzji. Wiem tylko, że nie zniósłbym, gdyby ktoś ją skrzywdził. Jest taka wyjątkowa, taka... Powinien pan zobaczyć jej oczy. Wielkie, ciemne i patrzące z takim cholernym zaufaniem. Ona po prostu... Dlaczego pan się uśmiecha?

– Uśmiecham się? – zdziwił się pułkownik, unosząc brwi. – Ja? Zresztą w moim wieku, Johnie-Trevorze, nie mogę już być odpowiedzialny za wszystko, co robię.

– Czyżby? Jest pan co prawda ekscentrykiem, ale bardzo sprawnym umysłowo. Proszę też nie mówić z tą obłudną miną „w moim wieku”. Znam pana dobrze i mnie pan nie nabierze. A teraz, jeśli możemy wrócić do tematu, jak pan zamierza zachować się wobec Paisley?

Pułkownik Blackstone przeciągnął ręką po piersi i uśmiechnął się do trzaskających płomieni.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji. Ale jednak chciałbym ją zobaczyć. Zastanawiam się, czy również nie porozmawiać z nią, ale przede wszystkim chcę ją ujrzeć, choćby z daleka. John-Trevor skinął głową.

– Tak, rozumiem to.

– Nie wyobrażasz sobie, jaką falę wspomnień rozbudziłeś we mnie. Więc Paisley zachowała witraż, który dałem jej matce? Kandi tak kochała tę swoją tęczę marzeń...

– „Spoczywaj lekko na marzeniach” – wyrwało się

Johnowi-Trevorowi.

– Niemal słyszę Kandi wypowiadającą te słowa. – Pułkownik westchnął. – Wciąż tyle wspomnień, choć minęło tak wiele lat. Muszę poznać moją córkę.

– Zaaranżuję to spotkanie i dam panu znać.

– Dobrze, dziękuję. Spędzisz tu noc?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

– Zawsze jesteś mile widziany. – Pułkownik na chwilę utkwiał wzrok w suficie. – A może powierzyć to zadanie jakiemuś młodemu człowiekowi pracującemu w którejś z moich korporacji? Mógłby być odpowiednim kandydatem na męża dla Paisley.

– Nie sądzę – rzucił ostro John-Trevor. Gdy pułkownik spojrzał na niego zaskoczony, odchrząknął nerwowo. – To znaczy... Wie pan, że Paisley, podobnie jak Kandi, wierzy w przeznaczenie. Jeśli zdecyduje się pan wyjawić jej swą tożsamość, później może się wydać, że zabawiał się pan w swatanie i będzie jej strasznie przykro.

– Więc uważasz, że nie powinienem kierować nikogo w jej stronę?

– Z pewnością nie. Proszę tego nie robić. Pułkownik Blackstone udał ziewnięcie, by skryć cisnący mu się na usta uśmiech.

– Dobrze, Johnie-Trevorze. Żaden inny mężczyzna nie pojawi się na razie na scenie. Aaa... Chyba pójdę już spać. Posiedź sobie przy ogniu, jak długo zechcesz i wypij tyle brandy, na ile masz ochotę. Spisałeś się świetnie. Wierzę, że nasze problemy niedługo się zakończą.

– Cieszę się, że pan tak myśli. Moim zdaniem wszystko tkwi w obłąkańczym chaosie.

Pułkownik Blackstone podniósł się z fotela.

– Często sprawy nie wyglądają tak, jak je widzimy, a te, które wydawały się przerażająco zagmatwane, dają się łatwo rozwiązać. Dobranoc.

– Dobranoc, pułkowniku.

– I spoczywaj lekko na marzeniach – dodał Blackstone już w drzwiach.

– Spoczywaj... lekko... Ale ja nie mam żadnych marzeń – oświadczył John-Trevor pustemu pokojowi. A może jednak miał? – Do diabła z tym – mruknął pod nosem detektyw i sięgnął po karafkę z migoczącym złocistym płynem.

Następnego dnia wczesnym popołudniem John-Trevor stał przed szybą, która ze wszystkich stron otaczała mały pokoik. W środku przy stole siedziała Paisley.

Miała na głowie słuchawki z doczepionym mikrofonem, cienkim jak ołówek. Na drewnianej podstawce na stole spoczywała książka. Oszklone ściany tłumiły głos, ale John-Trevor widział, że dziewczyna porusza ustami. Najwyraźniej czytała na głos. Sądząc po wyrazie twarzy, głęboko zaangażowała się w akcję. W pewnej chwili w dramatycznym geście przycisnęła obie ręce do serca.

John-Trevor zdał sobie sprawę, że uśmiecha się jak kretyn, ale było mu wszystko jedno, czy ktoś to widzi. Paisley wyglądała ślicznie w czarnej spódnicy i

marynarce zarzuconej na jasnoczerwoną bluzkę.

Rano, przy śniadaniu, tak naciskał pułkownika Blackstone'a, że ten wyznał, że zgodnie z przeczcuciem Johna-Trevora, zebrał więcej informacji, niż początkowo ujawnił. Wiedział, gdzie jego córka pracuje, że ma dwuletni samochód, zaś stan jej konta miewa niebezpieczną tendencję do spadania do granicy koniecznego minimum, ponadto słyszał o ludziach, którzy z nią mieszkali. Według pułkownika następnym krokiem powinno być spotkanie z córką.

John-Trevor otrząsnął się z zamyślenia, widząc nagły ruch za szybą. Paisley zdjęła słuchawki i wstała. Mężczyzna zastukał w szklaną tafłę i wtedy odwróciła się. Uśmiech rozjaśnił jej twarz. Uniosła w górę palec i powiedziała samymi ustami: „Jedną minutę”, po czym jej wzrok powrócił do stojącego na stole magnetofonu. Wcisnęła przycisk cofający i bez ruchu obserwowała przesuwaną się taśmę. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

John-Trevor przyszedł do niej! Tęskniła za nim od momentu, gdy poprzedniego dnia opuścił jej dom. Przez wszystkie minione godziny czuwania i snu jej umysł i serce wypełniał tylko on. A teraz znalazł się tak blisko, oddzielony tylko ścianą szkła.

Magnetofon zatrzymał się z cichym stuknięciem, które przypomniało Paisley, gdzie się znajduje. Zdejmowała przewiniętą taśmę i jej uśmiech bladł coraz bardziej.

W tej chwili dzieli ją od Johna-Trevora szyba i aby być



z nim, wystarczy otworzyć drzwi. Ale jakie drzwi musi otworzyć, by trafić do jego serca? Zamyśliła się. Czy aż tak się różnili, że nie mogła mieć nadziei na coś specjalnego między nimi, coś trwającego całe życie?

Nie umiała na to odpowiedzieć. Cóż, nie czas zastanawiać się nad tym. John-Trevor stał za szybą i tylko to było ważne.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła na korytarz. Ale gdy tylko napotkała jego wzrok, wszystkie słowa powitania uciekły jej z głowy. Nie mogła mówić, oddychała z trudem wpatrzona w jego postać.

Zanim John-Trevor zdał sobie sprawę, że się poruszył, stał już przy niej. Ujął twarz dziewczyny w dłonie i spojrzał jej w oczy, nie po raz pierwszy czując, że tonie w ich czarnej głębi.

Nachylił głowę i pocałował Paisley. Objął ją mocno, bez śladu wahania czy nieśmiałości. Pocałunek był gorący i namiętny. Przytulał ją rozpaczliwie, wiedząc, że tylko ona zdoła uśmierzyć ból jego ciała. Czując go coraz bliżej, westchnęła miękko, co rozpało w nim silniejsze emocje niż dotyk jej delikatnego języka.

Paisley. Paisley. Była jego. Całkowicie.

Przywarła do niego jeszcze mocniej, czując drżenie nóg. Ten namiętny pocałunek i dotyk jego silnych ramion pozbawił ją zdrowego rozsądku, rzucił w sam środek wiru wciągającego w odmet pożądania. „Jeśli nie skończy się ten pocałunek – myślała – przestanę nad sobą panować”.

Instynktownie rozumiejąc, jak blisko była całkowitego

oddania się, John-Trevor podniósł głowę. Nie mógł oprzeć się jednak pragnieniu, by jeszcze raz musnąć jej usta swoimi, po czym wypuścił ją z objęć i odsunął się nieco.

– Boże, co ty ze mną robisz – odezwał się drżącym głosem. – Zaczynam cię całować i nie potrafię tego zakończyć. Tak chciałbym się z tobą kochać, ale o tym już wiesz. – Rozejrzał się. – Cóż, tu jesteś przynajmniej bezpieczna. Nie napastowałem żadnej kobiety w bibliotece... już chyba z rok. – Trzęsącą ręką przeciągnął po włosach. – Wybacz, Paisley. Bredzę. Staram się odzyskać nad sobą kontrolę. Zmieniasz mnie nie do poznania, moja droga.

– Ty... też tak na mnie działasz – powiedziała miękko. – Po twoim odjeździe tęskniłam za tobą nieprzytomnie. Powinnam może zachowywać się spokojnie i o niczym ci nie mówić, ale taka jest prawda. Tęskniłam. A teraz tak się cieszę, że cię widzę. Odkąd pocałowałaś mnie ostatnio, minęła chyba wieczność. Och, tak w ogóle, to dzień dobry.

John-Trevor nie uśmiechnął się, jak przewidywała.

– Dzień dobry – odpowiedział cicho.

– Wyglądasz jak burza gradowa – stwierdziła już bez uśmiechu. – Co się stało?

– Nic. Posłuchaj, przyszedłem, żeby spytać, czy zjemy dziś razem obiad.

Na jej twarz wrócił promienny uśmiech.

– Bardzo bym chciała.

– Dobrze. O siódmej? – Tak.

– To do zobaczenia. – Ale nie ruszył się z miejsca. – O siódmej. Na obiad. – Uniósł jedną rękę, jakby zamierzał dotknąć Paisley jeszcze raz, ale nagle zacisnął pięść i minął dziewczynę, idąc w stronę wyjścia.

Paisley odwróciła się, by móc obserwować jego odejście.

– Na razie – szepnęła.

John-Trevor zmieniał nastroje tak szybko, że trudno było się przystosować. W jednej chwili całował ją, i to jak, a już w następnej złościł się o coś. Skomplikowany mężczyzna. Cóż, nie będzie się teraz zamartwiać. Lepiej myśleć o tym, że wieczorem znów go zobaczy. Spojrzała na zegarek i jęknęła. Do siódmej jeszcze tyle godzin...

John-Trevor siedział za kierownicą wypożyczonego samochodu zaparkowanego przed biblioteką i spoglądał przez okno na drzewa w zimowej nagości. Co, u czarta, miały znaczyć te nagłe emocje wywołane przez Paisley. Musi to rozpracować, zanim kompletnie oszaleje. Dlaczego on, dobry w swoim fachu detektyw, nie umiał poradzić sobie z zagadką kryjącą się wewnątrz jego mózgu? Przeanalizujmy to.

Zaklął i potrząsnął głową.

Zbliżył się do Paisley i dotknął jej, zanim w ogóle zdał sobie sprawę, że się poruszył. Wystarczyło jedno jej spojrzenie, by stracił głowę. Gdyby pojawiła się teraz przy samochodzie, chwyciłby ją, zawiózł do hotelu i nie pozwolił odejść, póki jego szalejący głód nie zostałby

nasycony. Co ona z nim wyprawia? Co się z nim dzieje? Dlaczego...

I nagle zrozumiał. Zacisnął palce na kierownicy tak silnie, że aż zbieleły mu pięści.

O nie, z wściekłością odsuwał od siebie tę myśl. Nie zakochał się w Paisley Kane. Cholera, jeśli ta niepozorna istota w jakiś sposób sprawiła, że ją pokochał, skreśli jej kark. Nie dał i nigdy nie poda kobiecie własnego serca na platynowej tacy, by mogła z nim robić, co tylko zechce.

Lepiej, żeby Paisley nie igrała z nim. Niech przestanie wpatrywać się w niego tymi swoimi cudownymi oczami. Niech nie całuje go tak, jakby nie istniało jutro i nie wzdycha, jakby znalazła się w niebie, gdy wtula się w jego pulsujące bólem ciało. Boże, pragnął jej tak bardzo. Chciał kochać się z nią, nie pozwolić nikomu jej skrzywdzić, być jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek jej dotykał.

A to wszystko dlatego, że...

– Nigdy – wyrzucił z siebie, przyciskając czoło do chłodnej kierownicy. – Payton, bo cię zastrzelę z własnego pistoletu.

A to wszystko dlatego, że rzeczywiście zakochał się w Paisley Kane.

John-Trevor podniósł głowę, zmrużył oczy i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wyjechał z parkingu, starając się o niczym nie myśleć. Po prostu stłumić panujący pod czaszką zamęt i jechać.

Kilka godzin później John-Trevor słuchał jednym

uchem opowiadania Paisley o książce, którą dziś tłumaczyła. Zasypywała go radośnie potokiem słów, on zaś starał się sprawiedliwie dzielić uwagę między nią a samochód, który prowadził.

Wyglądała rewelacyjnie. Umiała się ubrać, co pewnie zawdzięczała latom spędzonym w Paryżu. Trzy różnokolorowe męskie krawaty, splecione w ozdobny węzeł kilka centymetrów poniżej kołnierzyka jedwabnej, kremowej bluzki, wyglądały dość niesamowicie, ale robiły wrażenie.

Miała również na sobie czarną, dopasowaną spódniczkę, która opinała ją w pasie i przyjemnie zaokrągląła biodra. Zaś na widok czarnych skórzanych butów na wysokim obcasie Johnowi-Trevorowi niemal pociekła ślinka. Och tak, wyglądała bombowo.

„Powiniennem zwrócić większą uwagę na swój wygląd” – stwierdził. Czarny garnitur, biała koszula i krawat w bordowe paski nie miały tego szyku, co ubranie Paisley.

John-Trevor mógł zdradzić przed sobą, że poświęca ich strojom przesadną uwagę tylko dlatego, by nie myśleć o zbliżającym się obiedzie.

Pułkownik Blackstone przybędzie do restauracji, by zobaczyć swoją córkę po raz pierwszy w życiu.

Wybór restauracji należał do detektywa. Chciał znaleźć się w miejscu dość przeciętnym i spokojnym, gdzie ustawienie stolików dawałoby poczucie odosobnienia, ale nie intymności. Słowem, by można było ich obserwować, ale nie natrętnie. Przez całe popołudnie szukał właściwego

lokalu i dopiero czwarty z kolei wydał mu się odpowiedni.

Gdy weszli, skierowano ich do małego stolika oświetlonego przez świeczkę zamkniętą w lampionie. Słabe płomyki odbijały się w suficie, rozsiewając blask wystarczający, by widać było twarze innych gości. Jedno spojrzenie i John-Trevor zorientował się, że pułkownika nie ma jeszcze na sali.

Zamówili zeberka, polecane w karcie jako specjalność zakładu, i wino. Gdy kelnerka odeszła od ich stolika, John-Trevor spojrzał na Paisley i natychmiast tego pożałował. Delikatne światło rzucane przez świeczkę podkreślało jasność skóry i czerń oczu, jedwabisty połysk loków okalających jej twarz.

Boże, jaka była śliczna. Jak laleczka z porcelany. Jego serce po raz tysięczny oszalało, waląc jak bęben w wiosce afrykańskiej, a wygłodzona żądza wypełniła szczelnie ciało, objawiając się ciepłem promieniującym wzdłuż lędźwi. Pragnął jej, był w niej zakochany do szaleństwa i nigdy jego mózg nie był siedliskiem równie sprzecznych myśli.

– Johnie-Trevorze, czy masz łódź? – spytała nieoczekiwanie Paisley.

– Co takiego? Łódź? Nie. Dlaczego pytasz?

– Mieszkasz przecież w Kalifornii.

– Moi przyjaciele mają. Nie przepadam za pływaniem, to za statyczne. Wolę narty wodne.

– Co jeszcze lubisz robić? Wzruszył ramionami.

– Chodzić do kina, na koncerty. Dużo czytam,

zwiedzam i nie przepuszczam żadnych zawodów sportowych, które można obejrzeć. – Poprawił się na krześle i przebiegł wzrokiem salę. Pułkownik Blackstone był nadal nieobecny. – Podobało mi się to muzeum, w którym byliśmy wczoraj. Masz rację, w Denver można dużo zobaczyć. Będziemy musieli urządzić sobie kolejną wycieczkę. „O czym ja mówię? – spytał sam siebie. To snucie wspólnych planów na przyszłość nie miało sensu. Ale brzmiało tak przyjemnie, a słowa same cisnęły się as a usta”. – Ale pewnie nie będziesz chciała pokazywać mi Denver – dodał z zakłopotaniem, by zatuszować poprzednie słowa. – Mieszkasz tu tak długo, że wszystko już zdążyłaś zobaczyć.

– Każda minuta spędzona z tobą w mieście jest dla mnie wydarzeniem – odparła miękko Paisley. – Dzięki tobie odkrywam je na nowo. – Przypomniała sobie, że nawet los potrzebuje wsparcia. – Wybierzmy się na tę wycieczkę. Razem, tylko ty i ja.

– Doskonale – mruknął, zaglądając jej w oczy.

– Przepraszam państwa. – Usłyszeli nagle jakiś głos. Obydwoje drgnęli, zaskoczeni. Przy stoliku stał mężczyzna. Starszy mężczyzna. – Kelnerka obsługująca państwa nagle źle się poczuła – wyjaśnił. – Więc ja podam obiad. Przepraszam panią...

– Och, oczywiście. – Paisley zdjęła ręce ze stołu, by mógł ustawić przed nią talerz. – Wygląda znakomicie.

Teraz mężczyzna zwrócił się do Johna-Trevora:

– Jeśli pan pozwoli...

Ale John-Trevor tylko wpatrywał się w kelnera znanego mu do tej pory jako pułkownik Blackstone.



## Rozdział 6

Pułkownik Blackstone zdjął mały srebrny talerzyk ze stoliczka na kółkach.

– Życzy pani sobie rzodkiewki? – zagadnął Paisley.

– Dziękuję, nie.

Pułkownik zerknął na Johna-Trevora.

– A pan?

Oczy Johna-Trevora zwięziły się niebezpiecznie.

– Chyba zaprezentuje nam pan ciekawsze rzeczy... niż rzodkiewki.

– *Qu 'avez-vous dit?* – spytał pułkownik, unosząc brwi.

– Och, mówi pan po francusku. – Uśmiech rozjaśnił twarz Paisley. – I to jak wspaniale. *Avez-vous demeure en France?*

– Niestety, nie – westchnął kelner. – Nigdy nie mieszkałem we Francji. Ale gdy byłem młodszy, często odwiedzałem Paryż.

– Doprawdy? – spytał John-Trevor. – Ja też dziękuję za rzodkiewki. Chcielibyśmy napić się wina.

– Oczywiście, zaraz przyniosę – odpowiedział pułkownik.

– Czy nie jest przemiły? – zapytała Paisley, gdy ich kelner się oddalił.

– Szczwany lis – mruknął pod nosem detektyw.

– Wiesz – mówiła dalej Paisley – ten kelner jest chyba za stary, żeby pracować fizycznie. To smutne. Powinien

być już na emeryturze, siedzieć w domu i odpoczywać. Nie żal ci go?

Jedynym pragnieniem Johna-Trevora była teraz chęć uduszenia Blackstone'a gołymi rękami. Ale gdy się pośpieszy, nie wszystko będzie stracone. Jeszcze może odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– Hej. – Paisley lekko trąciła go. – Pytałam, czy nie żal ci naszego kelnera, który ciężko pracuje mimo swoich lat?

– Tak – odpowiedział John-Trevor. – To przykre. W jakim on może być wieku? – Zrobił pauzę. – W wieku twojego ojca?

– Ojca? Dlaczego o nim wspomniałeś? Detektyw wzruszył ramionami.

– Przypomniał mi się akurat.

– Aha. Zgodnie z tym, co mówiła mama... Siedemdziesiąt kilka. Tak. Tyle, co ten kelner. Dobrze, że starsi ludzie prowadzą aktywne życie, ale praca kelnera pochłania wiele energii. Biedny staruszek. Współczuję mu z całego serca.

– Hmm. Jedz. – Mówiąc to John-Trevor odkroił kawałek mięsa.

– Dobrze, już jem.

Znowu podszedł do nich pułkownik, tym razem z butelką wina. Wlał trochę na spróbowanie Johnowi-Trevorowi i zerknął na talerz Paisley.

– Nic nie ubyło – stwierdził. – Przecież wystygnie. I proszę nie zapomnieć o brokułach. Nie można jeść tylko samych kwiatów, lodyżki też są smaczne.

– Słucham? – Paisley spojrzała na niego zdumiona.

– Dziękujemy, troskliwa mamusiu – wycedził detektyw przez zęby.

– Czy będę jeszcze potrzebny? – spytał grzecznie pułkownik.

– Nie! – prawie warknął John-Trevor.

– Zaraz, poczekaj – odezwała się Paisley. – Mam zjeść brokuły, zarówno łodyżkę jak i kwiat. Dlaczego pan to powiedział?

John-Trevor spojrzał na dziewczynę i z niepokojem spytał:

– Co się stało, Paisley? Nagle zrobiłaś się blada.

Nie usłyszała go, cała jej uwaga skierowana była na kelnera.

– Dlaczego pan tak powiedział? – spytała jeszcze raz.

– Bo w łodydze jest dużo witamin – odrzekł. – Witaminy to zdrowie, więc powinno się jeść całe brokuły.

– Moja... matka też tak mówiła – wyjaśniła Paisley drżącym głosem. – Dokładnie w ten sposób: "Paisley, brokuły to nie tylko piękny kwiat, ale i łodyga", potem zwykle było o witaminach. I teraz słyszałam prawie te same słowa. Jakie to dziwne "Do diabła" – zdenerwował się John-Trevor. Pułkownik nie pomyślał o tym, co mówi.

– Paisley – powiedział głośno. – Wiele matek w ten sposób poucza dzieci. James-Steven nie cierpiał skórki od chleba i mama kazała mu jeść ramkę razem z maślanym obrazkiem, czy jakoś tak. To żargon matczyny, typowy w ich zawodzie. – Spojrzał na Blackstone'a. – Prawda?

– Słucham? A naturalnie. Często słyszy się, jak matki mówią o brokułach jako o kwiatach i łodydze, liściach i pniu. Używają wszelkich porównań, by pobudzić wyobraźnię maluchów i zmusić je do przełknięcia wszystkiego do ostatniej kruszyny.

– Tak, to prawda. Po prostu uderzyło mnie, że powiedział pan to tak jak mama. I zna pan francuski. To obudziło wspomnienia. Przykro mi, że tak ostro zareagowałam na coś tak nieistotnego jak brokuły.

– Wybaczamy ci – odezwał się John-Trevor i dodał, zwracając się do pułkownika: – Nie chcielibyśmy, by przez nas zaniedbywał pan innych gości.

– Obsługuję tylko was – padła odpowiedź. – Nie ruszam się już tak szybko jak dawniej.

– Przydzielono panu tylko jeden stolik? – Paisley była zaskoczona. – Jak może się pan utrzymać z takiej pensji, skoro... och, przepraszam. To nie moja sprawa. Nie będziemy na razie niczego zamawiać. Może pan usiąść i odpocząć.

– Moje drogie dziecko – rzekł wzruszony pułkownik. – Rzeczywiście jestem zmęczony. Pójdę złożyć swe nogi wyżej i opuścić pośladki. – Po tych słowach odszedł.

– Johnie-Trevorze – szepnęła Paisley z otwartymi szeroko oczami.

– Co się stało? Nachyliła się ku niemu.

– Słyszałeś, co on powiedział? To było kolejne powiedzonko mamy. Wraciała z klubu, gdzie śpiewała, i mówiła: „Och, taka jestem wyczerpana. Najwyższy czas,

żeby złożyć swe nogi wyżej i opuścić pośladki". Ten kelner znał moją matkę, Johnie-Trevorze, jestem tego pewna. Dosłownie ją cytuję.

– Paisley, jesteś przewrażliwiona. To wszystko przeze mnie, bo wspomniałem o twoim ojcu. Spotkaliśmy człowieka, który odwiedzał Paryż, mówi po francusku, używa tych samych porównań co twoja matka i... twoja wyobraźnia zaczęła pracować. Jedz obiad.

Dziewczyna nie rozchmurzyła się, lecz zmusiła do przełknięcia kawałka ziemniaka.

– A może wtrącił się twój przyjaciel los. – John-Trevor odezwał się po chwili, starając się mówić normalnym głosem. – Może ten biedny kelner rzeczywiście jest twoim ojcem?

Paisley zachnęła się.

– Moim... To absurdalne.

– No widzisz. A teraz nie zwracaj już na niego uwagi i jedzmy. Och, zapomniałem skontaktować się z moją sekretarką. Zadzwońię do biura. – Wstał. – To nie potrwa długo.

– Pracuje o tej porze?

– Nie. Zadzwońię do niej do domu. Mieszka tuż *pod* Los Angeles razem z sześcioma kotami i jej ulubienicą żabą. Wspaniała kobieta. – Szybko oddalił się.

– Ulubienicą żabą – mruknęła Paisley i wzruszyła ramionami. Położyła łokieć na stole i oparła brodę na dłoni.

„Może ten biedny kelner – powtórzył echem jej umysł –

rzeczywiście jest twoim ojcem? Nie, to nieprawda. Chociaż dlaczego nie? Jeśli chodzi o los, wszystko jest możliwe. Czyż to nie przeznaczenie pchnęło ją z Johnem-Trevorem w śnieżną zaspę? Z pewnością. Ale teraz, zaledwie kilka dni później, los wrzuciłby ją w ramiona ojca?" – Wzdrygnęła się na tę myśl.

Dziesięciodolarowy banknot, wsunięty w dłoń hostessy, dostarczył Johnowi-Trevorowi potrzebnej informacji. Detektyw skierował się do małego pokoju na zapleczu i znalazł pułkownika Blackstone'a siedzącego na sofie. John-Trevor zamknął drzwi i groźnie popatrzył na starszego mężczyznę.

– Jak mogło to panu przyjść do głowy? – spytał podniesionym głosem. Pułkownik wcale się nie zmieszał; wprost przeciwnie, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie możesz sobie wyobrazić, Johnie-Trevorze, co poczułem, gdy zobaczyłem Paisley. Jest tak podobna do Kandi i tak piękna. Musiałem się do niej zbliżyć, rozumiesz? Musiałem odezwać się do niej, usłyszeć jej głos, zobaczyć jej uśmiech.

Tęcza marzeń – W porządku, mogę to zrozumieć, ale trochę pan przesadza!

– Przykro mi, że wymknęły mi się słowa, które Paisley słyszała od matki. Nie zdawałem sobie sprawy, gdzie się ich nauczyłem.

– Nie o to chodzi, pułkowniku. Od pierwszego spotkania pana znajomość z Paisley oparta jest na kłamstwie. Ma pana za biednego staruszka, który musi

pracować ponad siły. Nie pomyślał pan, co się stanie, gdy dowie się prawdy? Jest taka uczciwa i ufająca. Zbudowałem między nami wieżę kłamstw i teraz pan robi to samo. Będziemy spaleni. Boże, sama myśl, że zobaczę ten ból w jej oczach, gdy dowie się...

– Ty ją kochasz.

– Nie powiedziałem nic takiego.

– Nie musiałeś. Domyśliłem się wczoraj, gdy u mnie byłeś. I to moja wina, że musisz kłamać. – Potrząsnął głową. – Ale namąciłem, co?

– Pułkowniku, musimy dać jej złapać oddech i przemyśleć to. Podjął już pan decyzję, czy ujawni się pan?

– Jeszcze nie. Za tym leżą wielkie pieniądze, Johnie-Trevorze. A jeśli ofiaruję jej tylko rozczarowanie i smutek, zmuszę, by żyła w sposób, jaki jej nie odpowiada? Potrzebuję więcej czasu i okazji, żeby ją poznać. Muszę dostać się do jej domu, obserwować ją i słuchać. Pomożesz mi w tym?

– Pułkowniku, to oznacza jeszcze więcej kłamstw.

– Nie mamy w tej chwili innego wyboru. Jeśli okaże się, że kocha cię, tak jak ty ją, wybaczy ci to...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu John-Trevor, unosząc rękę. – Nie zamierzam jej o niczym mówić. Nie tak chciałem urządzić sobie życie. Boże, ona przecież marzy o gromadce dzieci. – Spojrzał w sufit. – Mam się na to zgodzić?

Pułkownik Blackstone podrapał się w brodę, po czym wstał.

– Każdy idiota zauważyłby, że nie jesteś odpowiednim mężczyzną dla Paisley.

Spojrzenia Johna-Trevora i pułkownika zderzyły się.

– Skąd może pan wiedzieć? Jestem przyzwoitym, płacącym podatki obywatelem tego kraju. W czym nie dorównuję tym młodym typom, których chce pan podsunąć swojej córce?

– Nie chcesz ożenić się z nią. Przykro mi, Johnie-Trevorze, widocznie nie pasujecie do siebie.

– Zaraz, niech pan zaczeka...

– Wracaj lepiej na salę, zanim Paisley zacznie cię szukać. Za chwilę przyniosę wam kawę i deser. – Zaśmiał się. – Musisz wiedzieć, że zapłaciłem dwieście dolarów za przyjemność napełnienia waszych filiżanek. Nie ma teraz czasu na wtajemniczenie cię w szczegóły planu. Ale obserwuj mój następny ruch.

– Będą kłopoty – mruknął John-Trevor, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Pułkownik Blackstone uśmiechnął się. – Pan i pani Paytonowie. Paisley Kane Payton. Tak, brzmi doskonale.

Paisley rozglądała się po restauracji i obserwowała pozostałe jedzące tu pary. Jej wzrok przyciągało jednak uparcie puste krzesło naprzeciwko. Wzdrygnęła się.

John-Trevor odszedł tylko na chwilę, ale to wystarczyło, by poczuła się tak samotnie, jak nigdy w życiu. Nie musiała wysilać umysłu, aby zrozumieć, jak bolesne byłoby jego odejście na zawsze. Łzy stanęły jej w oczach, a wokół serca zacisnęła się lodowata obręcz.



Życie zmieniło się nieodwracalnie, odkąd spotkała Johna-Trevora. Wypęzła z bezpiecznego kokonu niewinności i przekształciła się w kobietę pragnącą trwałego, opartego na miłości związku z mężczyzną. Ale jeśli ów mężczyzna nie był na to przygotowany? Jeśli nigdy nie będzie?

Popatrzyła w stronę drzwi dokładnie w tej samej chwili, gdy na salę wchodził John-Trevor. Od razu poczuła szybsze bicie serca. Krew zdawała się parzyć żyły skandujące jego imię, przyzywając go do siebie, zmuszając, by swoją bliskością wyparł z jej serca chłód samotności.

„Jest taki wysoki – zauważyła po raz kolejny – i silny. Ponadto skomplikowany, zmienny, uparty, nieskończenie troskliwy i delikatny”.

Był Johnem-Trevorem.

I kochała go. Usiadł na swoim miejscu i uśmiechnął się.

– Już. W biurze wszystko w porządku. – Zjadł kawałek mięsa. – Trochę wystygło, ale nadal jest smaczne. Ty, widzę, już kończysz. Zaraz to nadgonię i zamówimy deser. Wiesz już, na co masz ochotę?

– Ciastko orzechowe – odparła, a z jej ust wyrwał się chichot. Czyżby właśnie te dwa słowa miały być pierwszymi słowami po tym, jak zdała sobie sprawę, że kocha Johna-Trevora? Nie „kocham cię”, nie „weź mnie, jestem twoja”, lecz „ciastko orzechowe”? Świetna historia, by opowiadać wnukom, zakładając oczywiście, że będzie je miała.

– Paisley. – Głos Johna-Trevora oderwał ją od tych myśli. – Masz taki rozmarzony uśmiech. Nie wiedziałem, że przepadasz za ciastkami.

– Kocham cię, Johnie-Trevorze.

Zakrztusił się winem i z trudem udało mu się odstawić kieliszek, nie rozlewając zawartości.

– Słucham? – Zabrzmiało to jak skrzek żab, których w rzeczywistości jego sekretarka nie cierpiała.

– Kocham cię – powtórzyła łagodnie. – Do tej pory nie byłam tego pewna, ale kocham cię i nie ma sensu tego ukrywać. A już zwłaszcza ty masz prawo o tym wiedzieć.

– Paisley, nie możesz... – rozejrzył się zaskakiwać mnie taką bombą w samym środku restauracji.

– Dlaczego? Powiedziałam prawdę. Kocham cię. Tak chciał los. Oczywiście sytuacja jest o tyle skomplikowana, że nie zamierzasz się żenić, ale to nie zmienia faktu, że kocham cię z całego serca. No i teraz już mogę kochać się z tobą. – Zamilkła na chwilę. – Nie zamówisz mi ciastka?

– Nie!

Kilka głów odwróciło się w ich stronę. John-Trevor, zanim przymknął oczy, zdołał jeszcze słabo się uśmiechnąć. Zacerpnął powietrza i spojrzał na Paisley. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

Kochała go. Paisley Kane kochała go. Ta urocza, delikatna i niewinna kobieta siedząca naprzeciwko, spośród wszystkich mężczyzn na świecie wybrała właśnie jego.

I on ją kochał. I to, Boże, jak bardzo. Powinien już

zaprzestać tej walki ze sobą. Nie chciał już za wszelką cenę chować serca tak, by nic go nie dosięgło.

Przegrał, ale też i wygrał. Wygrał Paisley Kane. Jak po wypiciu brandy ciepło rozlało się po ciele Johna-Trevora, ciesząc dotykiem jego wnętrza jak nigdy dotąd. Okrążyło jego umysł, serce, duszę, wszystko, czym był.

Kochał, a w dodatku był kochany przez uroczą i najbardziej ponętą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał.

Tak, kocha Paisley, ale przecież nie powie jej tego tu, w restauracji.

– Johnie-Trevorze. – Usłyszał jej głos. – Masz dziwny wyraz twarzy. O czym myślisz?

– O orzechowym ciastku – odparł szybko. – Zamówię deser, dobrze? – Rozejrzał się i po chwili do stolika zbliżył się pułkownik Blackstone. – Poproszę dwa ciastka orzechowe. Jeśli są.

– Sprawdzę – oświadczył „kelner”. – Czy mają być z bitą śmietaną?

– Tak – powiedział John-Trevor. – Paisley?

– Słucham? A tak, z bitą śmietaną.

– Zaraz przyniosę.

– Paisley – tłumaczył łagodnie John-Trevor, gdy pułkownik oddalił się. – Nie myśl, że ignoruję to, co powiedziałaś o... no wiesz. Po prostu nie chcę rozmawiać o tym tutaj. Zjemy deser i pojedziemy do ciebie. Jeśli nie będziemy mieli warunków do rozmowy, pojedziemy gdzie indziej.

– Dobrze – zgodziła się Paisley. Ich spojrzenia spotkały

się. – Zrobiłeś się taki poważny. Czy to, co chcesz mi powiedzieć, wyciśnie mi łzy z oczu?

Uprzedzam, że wzruszająco szlocham. – Westchnęła. – Widzę, że lepiej bym zrobiła, nic ci nie mówiąc. Ale gdy już to sobie uświadomiłam, sądziłam, że... powinieneś wiedzieć i... Nie gniewaj się.

– Hej, uspokój się. Porozmawiamy o tym później, dobrze? Jest nasz deser. Skoncentruj się na nim.

– Proszę. – Pułkownik ustawił przed Paisley talerzyk z olbrzymim kawałkiem ciasta pokrytym bitą śmietaną. – A oto pańskie ciastko – dodał, stawiając drugi talerzyk w sąsiedztwie łokcia Johna-Trevora. Detektyw od razu zauważył, że kawałek Paisley jest nieco większy od jego. – Czy wszystko w porządku? – spytał jeszcze „kelner”.

– W doskonałym.

– Jest pan pewien? – Pułkownik obrzucił Johna-Trevora długim spojrzeniem.

– Mogłabym dostać kawę? – spytała Paisley.

– Oczywiście – przytaknął Blackstone. – Czy pan również? Czy też nie jest pan typem mężczyzny dzielącym z kobietą jej pragnienie... napicia się kawy?

„Sprytne posunięcie” skrzywił się John-Trevor. – Nawet bardzo. Pułkownik dawał mu do zrozumienia, że uważa go za niewłaściwego partnera życiowego dla swojej Paisley. Cóż, trudno.

– Zdecydowanie pragnę tego samego, co ta młoda dama – śmiało odpowiedział, patrząc pułkownikowi w twarz.

– Hmm... – mruknął Blackstone i odszedł. Paisley

zjadła kęs ciastka i zdała sobie sprawę, że nie ma już na nie ochoty. Miała ściśnięte gardło, a to nie ułatwiało jedzenia.

„Co John-Trevor zamierza mi powiedzieć” – zastanawiała się. – Oświadczy, że był zakłopotany, słysząc jej wyznania, i przykro mu, ale nie odwzajemnia jej uczucia? A potem odejdzie, zabierając ze sobą jej serce?

Czy jedno ze szkielek w witrażu, które poświęciła jego osobie, nie zabłyśnie nigdy obietnicą miłości?

Czy jest jej pisane szlochać, szlochać i szlochać przez wszystkie puste dni i samotne noce, które potem nastąpią?

– Och, *non* – szepnęła.

– Co się dzieje? – Chciał wiedzieć John-Trevor. – Nie smakuje ci ciastko? No tak, gdy ktoś rozpieszcza się smakołykami Gracie...

– Jest pyszne. – Próbowwała się uśmiechnąć. – Całkowicie czarujące ciasteczane cudeńko.

Zachichotał.

– Spróbuj powiedzieć to trzy razy pod rząd. Paisley zjadła następną łyżeczkę deseru, na który już nie miała ochoty.

Na widok jej nieszczęśliwej miny John-Trevor zmarszczył czoło. Co się jej stało? On czuł się wspaniale, euforycznie, niecierpliwie czekał na chwilę, gdy znajdą się sami i będzie mógł powiedzieć jej o swojej miłości.

No i o całej reszcie, przypomniało mu jego bardziej trzeźwe „ja”. A mianowicie, co naprawdę robi w Denver.

Tego zaś nie powinien jej zdradzić, póki pułkownik nie zdecyduje ujawnić się. Ale gdy Blackstone wyzna, kim jest, jaki efekt wywrze to na Paisley, jej życiu i uczuciach do niego? Czy odstawi go na bok, pochłonięta odkrywaniem nowego, wspaniałego świata ofiarowanego jej przez ojca?

„Do diabła” zaklął w duchu John-Trevor, te rozważania pogrążają go coraz bardziej. Z głuchym łoskotem spadł z wyżyn, na jakie wzniosły go emocje. „Całkowicie czarujące ciasteczane cudeńko” smakowało teraz jak trociny.

– Możemy już iść? – spytał.

– Tak, jak tylko skończysz deser. Ja już nie mogę. Najadłam się obiadem i nawet nie mam ochoty na kawę.

– Ja właściwie też – odparł, rozglądając się za pułkownikiem, by prosić o rachunek.

Zamiast niego przy stoliku pojawiła się kelnerka.

– Państwa kelner zakończył już pracę. Proszę rachunek. Może pan zapłacić przy wyjściu.

– Dziękuję. – John-Trevor zerwał się na równe nogi i pomógł dziewczynie odsunąć krzesło. A więc pułkownik stwierdził, że na dzisiaj wystarczy. Z tą myślą John-Trevor zostawił suty napiwek dla sprzątającego ich talerze. Gdyby miał to robić pułkownik, dostałby zadyszki.

W czasie, gdy byli w zacisznej restauracji, front burzowy przesunął się i teraz smagający, zimny wiatr niósł ze sobą śnieg. Szli po parkingu, gdy nagle John-

Trevor zatrzymał się w pół drogi.

– Co się stało? – zapytała Paisley. – Chodź szybciej, bo zmarzniemy. John-Trevor ruszył przed siebie i zaciskając mocno szczęki, minął swój samochód, by zatrzymać się przy starym, zardzewiałym gruchocie z podniesioną maską.

– Jakieś kłopoty? – mruknął.

Pułkownik Blackstone wyprostował się i uśmiechnął.

– Nie chce zapalić.

– Skąd pan wziął tego grata? – spytał John-Trevor ostrym szeptem. – I co, do cholery, pan teraz wymyślił?

Dołączyła do nich Paisley.

– Boże, samochód się popsuł? Pułkownik westchnął.

– Niestety tak, mój biedny staruszek. No cóż, zadzwonię po przyjaciela, może mnie podwiezie. Dojazd nie powinien zająć mu więcej czasu niż godzinę, o ile nie wypił dziś za dużo sherry. W jego wieku nie widzi się zresztą najlepiej.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie ma sensu, żeby pan dzwonił do niego, skoro może być... Nie, lepiej nie. A jacyś inni znajomi?

– Nie mają samochodu.

– Więc nie ma o czym mówić. Pojedzie pan z nami do domu i zadzwoni ode mnie. Jeśli znajomy nie będzie w dobrej formie, John-Trevor i ja odwieziemy pana. Nie powinien pan czekać na dworze w taką pogodę.

– Paisley – przemówił John-Trevor. – Nie możesz tak po prostu zaprosić do domu mężczyzny, którego nie

znasz.

– Ciebie zaprosiłam.

– To co innego – odparł podniesionym głosem.

– Dlaczego? – zapytali naraz pułkownik i jego córka.

– Bo... – Rozłożył ręce.

– Nie zamierzam się kłócić. – Paisley pogodnie zakończyła dyskusję. – Chcecie tu zamarznąć?

– Dziękuję ci, kochana – powiedział pułkownik do Paisley. – Dziękuję z głębi serca. Och, nazywam się Blackstone. William Blackstone.

– Jestem Paisley Kane, a ten groźnie wyglądający młodzieniec to John-Trevor Payton.

– Bardzo mi miło, panie Payton.

John-Trevor mruknął coś pod nosem, odwrócił się i podszedł do samochodu.

W czasie jazdy Johnowi-Trevorowi udało się rozluźnić i nawet z uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie pozostałej dwójki. Nigdy jeszcze nie widział, żeby pułkownik był tak ożywiony, energiczny i uśmiechnięty.

Paisley była jak zwykle otwarta i życzliwa i pogawędka między nimi toczyła się swobodnie. John-Trevor z przyjemnością obserwował to spotkanie ojca z córką, mimo że Paisley nie wiedziała, iż nią jest.

Gdy zatrzymał się przed jej domem, Paisley urwała w pół słowa i niespokojnie się rozejrzała.

– Coś złego się stało. Spójrzcie, ile świateł. Dom jest oświetlony jak choinka. Szybko, Williamie, otwieraj drzwi. Musimy zobaczyć, co się dzieje.



Pułkownik wysiadł z samochodu, za nim Paisley, która natychmiast pobiegła do domu. Wbiegła do środka, zapominając o dotknięciu witraża.

Pułkownik na chwilę zatrzymał się przy kolorowych szkiełkach, po czym, wraz z deptającym mu po piętach detektywem, wbiegł za nią.

Z kuchni wynurzył się Bobby.

– Paisley! Nareszcie! Dobrze, że jesteś.

– Bobby, co się stało?

– Maxine. Zaczęła rodzić. Szczeniaki... – jego głos załamał się nie chcąc wyjść. Paisley, coś złego dzieje się z Maxine.

## Rozdział 7

Płaszcz rzucono niedbale na wieszak i cała trójka skierowała się za Bobbym do kuchni.

Profesor stał w odległym końcu pomieszczenia, załamując ręce. Gracie, ciągle jeszcze w jasnoniebieskim odcieniu, parzyła herbatę.

– Maxine jest w pralni – odezwał się Bobby. – Zrobiłem jej łóżko z gazet i położyłem kilka ręczników na wierzchu. Paisley, już nie wiem, co jeszcze mogę zrobić dla niej.

– Uspokój się, synu. – Pułkownik złożył silną, pewną dłoń na ramieniu chłopca. – Tak przy okazji, jestem William Blackstone. Może sprawdzimy, co się dzieje z Maxine?

– Och, przepraszam – oprzytomniała Paisley. – Nie przedstawiłam was. – Szybko wymieniała odpowiednie imiona.

– Chodźmy już. – Bobby niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. – Ona tam leży sama. Chodźmy!

John-Trevor szedł tuż za Paisley, ale w drzwiach pralni zorientował się, że wszyscy nie zmieszczą się w środku. Blackstone przykucnął wraz z Bobbym przy psie, John-Trevor został więc w progu, kładąc ręce na ramionach stojącej przed nim dziewczyny.

– Będziemy im przeszkadzać – szepnął do niej. – Lepiej poczekajmy tutaj.

– Dobrze. – Paisley zajrzała do pralni. – Maxine oddycha tak ciężko. Myślałam, że szczeniaki jakoś... same wyskoczą.

– Powinny. Zresztą nie znam się na tym za bardzo.

– Zrobiłam coś do picia. – Usłyszeli z tyłu głos Gracie.

– Poważne sytuacje wymagają herbaty. Nalać komuś?

– Nie, dziękuję. – Paisley i John-Trevor zgodnie odmówili.

– Martwię się o Bobby'ego – mówiła dalej Paisley. – Nigdy nie widziałam go w takim stanie. No i Maxine. Jest taka słaba, że nie ma siły podnieść głowy. Dlaczego te szczeniaki nie chcą się urodzić?

– Maxine da sobie radę – powiedziała z rozpaczą Paisley. – Musi. John-Trevor mocniej ujął ramiona dziewczyny.

– O nic się nie bój. Jestem tu z tobą i pomogę ci, jak tylko umiem.

– Dziękuję, Johnie-Trevorze.

Tymczasem pułkownik Blackstone wstał, poklepał Bobby'ego po ramieniu i skierował się do kuchni.

– Telefon.. ? – spytał.

– Tu, na ścianie. – Wskazała Paisley. – Williamie, co się dzieje z Maxine?

– Nie wiem nic prócz tego, że nie jest w stanie urodzić małych. – Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. – Poproszę 907. – A za chwilę: – George, weź kartkę i coś do pisania. Już? Chciałbym, żebyś przyjechał na ulicę, którą ci podam i przywiózł doktora Samuela Morleya pod

ten adres. – Podyktował oba adresy. – Gotowe? Powiedz mu, że ja cię przysyłam i że to bardzo pilne.

Paisley spojrzała ze zdumieniem na Johna-Trevora.

– Nic z tego nie rozumiem. Kim jest George? Sądziłam, że jego jedyny znajomy z samochodem mieszka o godzinę stąd i popija wieczorami sherry.

Pułkownik odwiesił słuchawkę i zamierzał wrócić do pralni.

– Williamie – zatrzymała go Paisley. – Kto to jest George?

– Szofer limuzyny. Przywiezie mojego przyjaciela weterynarza. – Zerknął na zegarek. – To nie potrwa długo. Z hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, jedzie się do Sama pięć minut, a stamtąd tu – około dziesięciu.

Paisley potrząsnęła głową.

– Hotel? Szofer? Limuzyna?

– Będę przy Bobbym – dodał pułkownik. – Gdyby przyszedł Sam, wskażcie mu drogę.

– Oczywiście, ale...

– Och, to nie byle jaki człowiek – westchnęła Gracie, gdy pułkownik wyszedł z kuchni. – Zna się na rzeczy, działa szybko i potrafi objąć dowodzenie. Skąd go wytrzasnąłaś, Paisley?

– Nie uwierzysz mi, Gracie. – Mówiąc to, patrzyła na Johna-Trevora. – William nie jest tym, za kogo się podaje.

– Wiesz... – John-Trevor zajęty był obserwowaniem czegoś ponad jej głową. – To... nie jest właściwa chwila. On pomoże Maxine i teraz tylko to się liczy. O resztę

pomartwimy się później.

– Ale...

– Później. Westchnęła.

– Dobrze. Wszystko się ułoży. Maxine nawet nie zauważy, jak zostanie mamą.

– Możesz być pewna. – John-Trevor uśmiechnął się.

– Chodźcie na herbatę – wtrąciła się Gracie. – Chciałabym, żeby Bobby też się napił. Jest wytrącony z równowagi. Maxine tyle dla niego znaczy.

– Bobby raczej nie myśli teraz o herbacie – powiedział łagodnie John-Trevor. – Ale trzymaj ją na gazie na wypadek, gdyby zmienił zdanie.

Profesor nadal stał w kuchni, nerwowo zaciskając palce. Zapadła cisza. Wolno płynęły minuty. John-Trevor i Paisley czuwali w drzwiach pralni. Detektyw oparł ręce na ramionach dziewczyny i kilkakrotnie musiał odpędzać od siebie pokusę, by musnąć ustami czubek jej głowy. Powstrzymywał się również, by nie odwrócić jej w swoją stronę i nie przytulić. Kiedy jednak westchnęła, delikatnie ścisnął jej ramię. Tęcza marzeń „Kocham cię, Paisley Kane” – wyznawał w myślach. W tej chwili mógł mieć jedynie nadzieję, że ich przedziwna miłość okaże się wystarczająco silna, by przetrwać mimo jego dotychczasowego fałszu i dwulicowości.

Gdy dźwięki „Here Comes Peter Cottontail” zawibrowały w powietrzu, drgnął ze zdumienia i jego dłoń zsunęła się z ramienia Paisley. Dziewczyna pobięła otworzyć drzwi.

Po niecałej minucie pojawiła się znowu wraz z sympatycznie wyglądającym mężczyzną po pięćdziesiątce, który dźwigał czarną lekarską torbę, i starszym od niego szoferem w czarnym uniformie, z wsuniętą pod pachę służbową czapkę.

„W każdej chwili – pomyślał John-Trevor – mogę usłyszeć coś, co mnie... ”

– Dobry wieczór, panie Payton – odezwał się George. – Nie wiedziałem, że i pan tu będzie.

– Tak się złożyło. – John-Trevor rozłożył ręce.

Paisley obrzuciła detektywa szybkim, zdezorientowanym spojrzeniem, po czym zwróciła się do weterynarza.

– Odłóżmy formalności na później – poprosiła, nie chcąc tracić czasu na przedstawianie nowo przybyłych. – Doktorze, proszę za mną. Trzeba pomóc Maxine.

– Może się pani nie martwić – zapewnił ją Moriey. Przeszedł przez kuchnię i skierował się do pralni. – Cześć, Williamie. W czym tkwi problem?

– Może pan napiłby się gorącej herbaty? – Gracie zagadnęła George'a.

– Dziękuję pani. W tej chwili nie marzę o niczym innym. Gracie rozpromieniła się.

– Jak to miło. Wreszcie ktoś ma ochotę na herbatę.

Krzątała się po kuchni, stawiając na stole filiżanki i cynamonowe bułeczki z jabłkami. Z pralni dobiegał szmer rozmów. Paisley zmrużyła oczy.

– Panie Payton – rzekła na pozór spokojnym głosem. –

Mamy chyba sobie dużo do powiedzenia.

Obdarzył ją jednym ze swych stuprocentowych uśmiechów.

– Naprawdę?

Jej twarz pozostała poważna.

– Naprawdę.

Uśmiech Johna-Trevora zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Och.

Minęło następne dziesięć minut. W tym czasie Paisley i John-Trevor nadal stali przy wejściu do pralni. Gracie i George raczyli się herbatą z bułeczkami, a profesor w milczeniu zaciskał palce.

Nagle z pralni wyszedł doktor Morley, niosąc Maxine owiniętą w koc.

– George! – zawołał szofera. – Pospieszmy się. Nie ma czasu do stracenia. Trzeba zawieźć Maxine do mojego gabinetu. Williamie, ty i Bobby możecie jechać ze mną.

– A my pojedziemy za wami – oznajmiła Paisley. – Ale co właściwie się dzieje?

– Maxine musiała być kiedyś ranna – wyjaśnił doktor. – Blizna blokuje kanał rodny. Muszę operacyjnie przeciąć tkankę, żeby uratować ją i szczeniaki.

– Och, *mon Dieu!* – wykrzyknęła Paisley. – Pośpieszmy się. Johnie-Trevorze, pojedziemy za nimi.

– Ja zostanę. Poczekam tu z herbatą – powiedziała Gracie. – Bobby, głowa do góry. Maxine jest w dobrych rękach.

Płaszcz założyli błyskawicznie. Po upływie kilku minut John-Trevor nabrał przekonania, że w poprzednim życiu George był kierowcą rajdowym i zmusił się do maksymalnej koncentracji, by nie stracić z oczu czarnego wozu.

Paisley wyglądała przez okno. Część jej uwagi zaprzętała Maxine i obawa o nią, ale nie mogła nie zastanowić się przy tym nad innymi wydarzeniami tego popołudnia. Przed jej oczami przesuwwały się luźne sceny, przypominała sobie fragmenty rozmów z Johnem-Trevorem i Williamem Blackstone'em. Straciła całą sympatię dla pana Blackstone'a, gdy ten okazał się bogatym człowiekiem. Na miłość boską, mógł sobie nawet pozwolić na szofera. Prowadził jakąś dziwną grę i, co gorsza, John-Trevor również brał w niej udział.

W chaosie myśli jedna okazała się szczególnie natrętna i wyparła wszystkie inne. John-Trevor ją okłamał.

Ten, którego pokochała, któremu ofiarowała serce, mężczyzna, który zdołał zająć miejsce w jej witrażowej tęczycy marzeń, kłamał.

Boże, jak to bolało.

John-Trevor musiał znać Williama Blackstone'a wcześniej. Szofer Williama zwrócił się do niego po imieniu. To nie dzięki przeznaczeniu John-Trevor wkroczył w jej życie, było to starannie zaplanowane.

Odwróciła głowę, by spojrzeć na niego. „Dlaczego, Johnie-Trevorze? – niemo pytała. – Dlaczego okłamywałeś mnie? I do jakiego stopnia? Czy pocałunki



nic dla ciebie nie znaczyły? Czy twoje zainteresowanie, pytania o sprawy osobiste, przeciągłe spojrzenia, które mi posyłałeś, to też część gry?"

Musi poznać prawdę. Zażąda prawdy. I miała przeczucie, że gdy już ją usłyszy, złamie to jej serce.

John-Trevor nacisnął gwałtownie hamulec, widząc limuzynę Blackstone'a parkującą przed niewielkim parterowym budynkiem z cegły. Oboje z Paisley wbiegli do środka.

Doktor Morley zniknął za wahadłowymi drzwiami, unosząc ze sobą Maxine. Reszta pozostała w poczekalni ze wzrokiem utkwionym w ścianie, jakby spodziewając się, że wyświetli się na niej sprawozdanie z przebiegu operacji.

– Teraz możemy tylko czekać. – Pierwszy przerwał milczenie pułkownik. – Proponuję zdjąć płaszcze i usiąść.

– Nie – zaprotestował Bobby. – Nie ruszę się stąd. Maxine może mnie potrzebować. Tak liczyła na mnie... – Jego głos zdradzał silne emocje. – A ja zawiodłem ją. Wiedziałem tylko, że coś jest nie tak, ale nie umiałem jej pomóc. – Potrząsnął głową. – Boże! Tak mi przykro, Maxine.

Paisley wzięła Bobby'ego za ramię i spojrzała mu w oczy.

– Nie powinieneś o nic się obwiniać – powiedziała stanowczo. – To nie twoja wina. Byłeś przy Maxine, gdy cię potrzebowała, a teraz ma najlepszą możliwą opiekę. Bobby, usiądź z nami.

– Nie rozumiesz tego, Paisley. – Bobby walczył ze łzami. – Maxine to mój pies. Mój. Nigdy nie miałem psa. Nigdy nie miałem nikogo, kto by tak mnie potrzebował. Owszem, stanowimy rodzinę, ty, Gracie i profesor, ale równie dobrze moglibyście żyć beze mnie. Ale dla Maxine byłem najważniejszy. Ufała mi, rozumiesz? Wszystko, co robiłem, podobało jej się. Machała ogonem i uśmiechała się do mnie. Naprawdę, przysięgam na Boga, ona się uśmiechała.

– Wiem – szepnęła Paisley. Dwie łzy spływały po jej policzkach. – Wiem, Bobby.

– Do diabła. – Bobby nagle zaczął szlochać. – Nie chcę, żeby umarła. Nie zniósłbym tego. Jest taka brzydka i niezgrabna, ale dla mnie to najwspanialszy pies i... kocham ją. Naprawdę ją kocham, Paisley.

– Och, Bobby. – Paisley przytuliła go do siebie. John-Trevor przełknął ślinę, czując w gardle dziwną grudę, i spojrzał na Blackstone'a. Zobaczył łzy błyszczące w oczach pułkownika. Nie musieli mówić, porozumieli się oczami. „Kocham pańską córkę” – wyznał John-Trevor pułkownikowi. „I ja ją kocham” – odpowiedział pułkownik. „I nie chcę, by coś się stało Maxine. Ani Bobby'emu.” „Ja też nie” – odparł pułkownik.

George wyciągnął dużą białą chustkę i wytarł oczy, po czym wydmuchał nos, wydając przy tym dźwięk myląco podobny do krzyku dzikiej gęsi. John-Trevor i pułkownik zamrugali, więź między nimi została przerwana.

– Usiądź, Bobby – poprosiła łagodnie Paisley.

Zdejmując płaszcz, zaprowadziła go do rzędu plastikowych krzeseł stojących przy ścianie. Bobby usiadł, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Dziewczyna objęła go jedną ręką.

Po chwili wahania John-Trevor zrzucił swój kożuch, usiadł obok Paisley i ujął jej wolną dłoń. Nie próbowała jej wyrwać, ale też nie sprawiała wrażenia, że zdaje sobie sprawę z jego dotyku.

„Strefa mroku” – określił sytuację John-Trevor. Jak gdyby znaleźli się w otchłani niepewności. Zastygły obraz. Dopóki w centrum uwagi znajdowała się Maxine, Paisley nie myślała o niczym innym. I bardzo dobrze, odetchnął detektyw. Nie spieszyło mu się do czekającej ich rozmowy, w czasie której wyjdą na jaw jego kłamstwa.

Gdyby nie pułkownik i Maxine, byliby teraz z Paisley sami, wyznając sobie miłość i kochając się. Och, tak, kochając się powoli i zmysłowo aż do rana. Kuszące wytwory wyobraźni były tak żywe, że jego ciało natychmiast na nie zareagowało. „Noc z Paisley mogłaby o niebo przewyższać wszystko, co był w stanie sobie wyobrazić” – stwierdził ponuro. A jednak mimo nagłego ciepła rozlewającego się po wszystkich tkankach wiedział, że nie ruszy się z krzesła, póki Maxine nie będzie już nic groziło. Gdyby Paul-Anthony lub James-Steven usłyszeli o tym, pękaliby ze śmiechu.

Bobby podniósł głowę i głęboko odetchnął.

– Dlaczego to trwa tak długo? Doktor mówił po drodze,

że będzie operował i wyjmie szczeniaki dzięki... jakoś to się nazywało. Ale to już tyle trwa. Co tam się dzieje?

– Cierpliwość – odezwał się pułkownik Blackstone – jest najlepszym lekarstwem w...

każdej sytuacji – dokończyła Paisley. Wstała, jej ręka wyślizgnęła się z dłoni Johna-Trevora. Patrząc na pułkownika, ciągnęła: – Tak powiedział Titus Maccius Plautus. I tak nieskończoną ilość razy powtarzała moja matka w najrozmaitszych sytuacjach. Panie Blackstone, o jeden zbieg okoliczności za dużo. Nie mam już wątpliwości, pan znał moją matkę. „Tylko nie to” – pomyślał John-Trevor.

Pułkownik wstał i spojrzał na nią uważnie. Na jego twarzy odbiło się wyczerpanie.

– Paisley – powiedział. – Na pewno zdajesz sobie sprawę, że to nie pora ani miejsce na dyskusję o...

Nagle drzwi otworzyły się i do poczekalni wkroczył doktor Morley. Bobby błyskawicznie znalazł się przy nim.

– Maxine? – spytał rozgorączkowany. – Co z nią? Jak się czuje?

Weterynarz uśmiechnął się i poklepał chłopaka po ramieniu. – Była bardzo dzielna, ta twoja Maxine. Walczyła. Gdy ją tu przywiozłem, nie dałbym za jej szansę pięciu centów, ale spisała się świetnie.

– Dziękuję. – Bobby szybko przetarł rękawem oczy. – Naprawdę dziękuję, doktorze.

– Och. – Paisley rozkleiła się. – To wspaniale. – Odwróciła się i napotkała ramiona Johna-Trevora.

Bez zastanowienia objął ją i przytulił do siebie. Pociągnęła kilka razy nosem, wydając przy tym śmieszne dźwięki podobne do czkawki. Uśmiechnął się nad jej głową ze stanowczym postanowieniem, że nigdy nie wypuści jej spod swej opieki.

– Czy nikogo nie interesują maluchy? – spytał doktor Morley ze śmiechem. – Dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Duże, tłuściutkie i zdrowe jak ryby.

– Och... – Usłyszeli odpowiedź Paisley stłumioną przez bliskość Johna-Trevora.

Bobby zamrugał.

– O rany, nie żartuje pan? Czworó? Niech mnie diabli, Maxine ma czworó małych. Mogę ją zobaczyć, no i jej dzieci?

– Ale tylko przez chwilę – zezwolił weterynarz. – Śpi jeszcze po narkozie. Szczeniaki są w inkubatorze, który pomoże im dojść do siebie. Możesz tam pójść, Bobby, ale wolałbym, żeby pozostali czekali tutaj.

Gdy Bobby z doktorem Morley'em zniknęli za drzwiami, Paisley uniosła głowę, by spojrzeć na Johna-Trevora.

– Hej – odezwał się do niej z uśmiechem. – Już dobrze? Pociągnęła nosem.

– Tak. Jestem taka szczęśliwa, że Maxine... – Powinnam odsunąć się od Johna-Trevora – przypomniała sobie Paisley. – Muszę natychmiast zwiększyć dystans między nami. Okłamał mnie przecież. Kłamał! Muszę również uporządkować sprawy z Williamem

Blackstone'em, który znał moją matkę. " Ale w ramionach Johna-Trevora było tak spokojnie i bezpiecznie... Silne, pachnące dało wydzielają ciepło, które przenikało ją do głębi. Kochała go. – ... że Maxine ma gromadkę dzieci.

John-Trevor zachichotał.

– Rzeczywiście. – A poważnie już dodał: – Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło. Maxine to straszna brzydula, ale zachowuje się jak rasowy pies. No i po tym, co tu widziałem, zakopię topór wojenny z Bobbym. To porządny, wrażliwy dzieciak. A udawanie, że ma pretensję do całego świata, to tylko maska.

– Tak właśnie jest. Zrobiłby wszystko dla swojej rodziny, czyli dla nas. – Wyprostowała się, zmuszając Johna-Trevora, by uwolnił ją ze swych ramion. – Rodzina. Moja matka. William Blackstone znał ją, a ty, panie Payton, znasz jego. – Oparła ręce na biodrach. – Chyba nadeszła pora wyjaśnień.

– Nie, teraz czas na odpoczynek przy herbacie – szybko wmieszał się pułkownik. – Spędziliśmy nerwowe popołudnie i wszyscy jesteśmy zestresowani. Pojedźmy do Paisley i napijmy się herbaty kojącej nerwy, zrobionej przez Gracie.

Zanim Paisley zdążyła odpowiedzieć, Bobby i doktor Morley powrócili z odwiedzin u Maxine.

– Dobranoc – pożegnał się weterynarz. – Bobby, zadzwoń do mnie jutro, powiem ci, czy możesz już zabrać Maxine do domu. Z tego, co widziałem, jest tak dzielna, że spłynie to po niej jak woda i zechce od razu zająć się

maluchami.

– Wielkie dzięki, Sam – odezwał się pułkownik Blackstone. – Jesteś bohaterem tego wieczoru.

– Przyślę ci rachunek – zaznaczył doktor.

– Jasne. – Pułkownik uśmiechnął się.

– Ciekawe, czy Gracie zostały jeszcze jakieś bułeczki?

– George zamyślił się. – Ta kobieta robi doskonałe wypieki. – Zrobił krótką pauzę. – Dlaczego ma jasnyniebieskie włosy?

– Nie rozróżnia kolorów – wyjaśnił Bobby. – Ale spróbuj pan nie powiedzieć jej, że wygląda świetnie, a będziesz miał ze mną do czynienia.

– Ale ona naprawdę wygląda znakomicie. To bardzo miła kobieta, a jej bułeczki smakują niebiańsko.

– Gdyby pan spróbował jej ciasta czekoladowego. – Bobby momentalnie zmienił nastawienie do szofera. – Kładzie na wierzch bitą śmietaną i...

– Cisza! – krzyknęła Paisley.

W pokoju zapadło milczenie, wszystkie oczy skierowały się na dziewczynę.

– No, już lepiej – powiedziała, unosząc brodę. – Z ulgą przyjąłem wiadomość, że Maxine nic nie grozi. Kryzys skończył się. Mimo to pewne sprawy nadal wymagają wyjaśnienia.

– Paisley... – zaczął John-Trevor.

– Spokój! – Spojrzała na niego zabójczo. Odchrząknęła.

– Jak sobie życzysz.

– Dziękuję. A więc, Johnie-Trevorze, nadal

wynajmujesz pokój w hotelu?

– Tak, ja...

– Świetnie. George, proszę zabrać Bobby'ego do domu. Poczekasz tam, jedząc bułeczki Gracie, póki pan Blackstone nie zadzwoni po ciebie. John-Trevor, pan Blackstone i ja jedziemy do hotelu pasa Paytona odbyć niecierpiącą zwłoki rozmowę.

– Tak, proszę pani – odpowiedział służbiście George i rozbawiony, zasalutował.

– Panowie – rozkazała dziewczyna. – Idziemy. – Stanowczym krokiem pomaszerowała do wyjścia.

„Paisley Kane jest fantastyczna” – stwierdził John-Trevor. Naocznie mógł przekonać się o prawdziwości sformułowania „jest piękna, gdy się gniewa”. Absolutna sensacja!

„Gniewa się – stwierdził po chwili – nie oddaje trafnie sytuacji”. W jej głosie słyszał bomby i jeśli ceni swoje życie, musi podporządkować się jej komendzie i ruszyć swoje cztery litery z tego pokoju. Och, Boże, jak kocha tę kobietę.

Droga do hotelu minęła w całkowitym milczeniu. Równie cicho przebiegła jazda windą na szesnaste piętro.

Dziewczyna patrzyła prosto przed siebie, ramiona założyła stanowczo na piersi. John-Trevor i pułkownik wymienili spojrzenia oznaczające myśl: „Nieźle kłopoty, co, stary?” Cała trójka ciężko stąpała po pokrytym dywanem korytarzu.

Apartament Johna-Trevora składał się z dwóch



pomieszczeń: saloniku i sypialni. Rozebrali się i John-Trevor z ciężkim westchnieniem wskazał gościom krzesła.

Usiedli. Paisley już otwierała usta, gdy pułkownik podniósł rękę.

– Proszę o głos.

Wciąż zachmurzona, skinęła przyzwalająco głową.

– Paisley – zaczął pułkownik głosem spokojnym i pewnym. – Taki stary człowiek jak ja spędza wiele godzin, zastanawiając się nad swym życiem, przypominając sobie wydarzenia z przeszłości, rozpamiętując wspomnienia. W trakcie takich rozmyślań doszedłem do wniosku, że najszcześniejsze dni i noce spędzone na tej ziemi zawdzięczam twojej matce.

– Wiedziała! – Paisley pokiwała głową, ale zaostrome rysy jej twarzy nie wygładziły się ani odrobinę. – Nie miałam wątpliwości, że znał pan moją matkę. Kiedy ją pan...

– Paisley. – Pułkownik spojrzał na dziewczynę. – Pozwól mi skończyć. Wysłuchaj mnie nie przerywając, jeśli możesz być tak miła.

– Proszę mówić – stwierdziła chłodno. John-Trevor położył łokcie na oparciu krzesła i oparł palce na łuku nosa tak, że tworzyły jakby wieżyczkę.

– Kandi Kane – mówił pułkownik – była pełną życia, niepowtarzalną i najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek poznałem. Pierwszy raz, i zresztą jedyne, zakochałem się. Pokochałem twoją matkę bardzo mocno.

Nie byłem jej obojętny, wiem o tym, ale bardziej ceniła swoją wolność i niezależność. Przypominała cudownego motyla, który nie chce być schwytany w niczyją siatkę, woli przenosić się z miejsca na miejsce, przeżywając każdą chwilę życia jak najpełniej.

– Motyl – szepnęła Paisley. – Tak. Spodobałoby się jej to porównanie.

– Kochałem ją do tego stopnia – kontynuował pułkownik – że usunąłem się z jej życia, gdy tego zażądała. Jej szczęście znaczyło dla mnie więcej niż moje własne. Rozstaliśmy się. Zdaję sobie sprawę, że zraniłem ją i nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale porozmawiajmy o teraźniejszości i o moim odkryciu, że mimo wszystko nie zostawiłem Kandi samej. Moje drogie dziecko, stoi przed tobą twój ojciec.

Paisley przycisnęła drżące palce do ust i zamknęła na chwilę oczy, by opanować rosnące emocje.

John-Trevor obserwował ją, zaciskając szczęki aż do bólu. Wyglądała w tej chwili na kruchą i podatną na ciosy. Chciał ogarnąć ją ramionami, powiedzieć, że ją kocha i że bez względu na to, jak straszna wydawałaby się przyszłość, stawiają jej czoło razem.

Opuściła rękę na kolana i otworzyła oczy.

– Nie wiedziałeś o moim istnieniu – powiedziała drżącym głosem. – Zdaję sobie z tego sprawę. Mama nigdy nie zdradziła mi, kim jesteś, ale nie miałam o to żalu. Wytłumaczyła, że dałeś jej dwa najcenniejsze podarunki:

mnie i...

i witraż. – Skończył za nią pułkownik. – Jej tęczę marzeń.

– Tak. – Łzy spływały po policzkach dziewczyny, a John-Trevor niemal jęknął, zmuszając się do pozostania na krześle.

Pułkownik Blackstone łagodnym głosem wyjaśnił, dlaczego Kandi kupiła dom w Denver, jak chciała złożyć życie córki w ręce losu, o tym, że planowała powiedzieć, kto jest jej ojcem w dwudzieste pierwsze urodziny Paisley. Ponieważ wtedy już nie żyła, to on musiał podjąć decyzję, czy ujawnić swoją tożsamość.

– Teraz wiesz wszystko – rzekł pułkownik. – Zamierzam się jednak posunąć o krok dalej.

– To znaczy?

– Jestem twoim ojcem, Paisley, i byłoby czymś najcudowniejszym, gdybym na resztę swoich lat mógł stać się częścią twego życia. Mam dużo, bardzo dużo pieniędzy i jako moja córka odziedziczyłabyś wszystko... z wyjątkiem sum, które zastrzegłem dla kilku bliskich mi osób, jak George. – Pułkownik wstał. – Następny ruch należy do ciebie. Ty musisz podjąć decyzję. Publiczne uznanie cię za moją córkę rzuci cię w świat, który może ci się nie spodobać. A to, że zyskałaś ojca, nie mając go nigdy, może nie być szczytem twoich marzeń.

– Ale... – zaczęła.

– Przemyśl to dobrze, Paisley – zakończył pułkownik. – Jeśli zechcesz wystąpić jako córka Williama Blackstona,

John-Trevor wie, gdzie mnie szukać. Jeśli nie skontaktujesz się ze mną, uszanuję twoją decyzję. Kocham cię, jak kochałem Kandi, tak bardzo, że jestem gotowy zostawić cię w spokoju, jeśli dzięki temu będziesz szczęśliwa. – Ciężko przełknął ślinę. – Zadzwoń z holu po George'a. Do widzenia, moje dziecko. Wkrótce dowiem się, czy nie oznacza to również „żegnaj”.

Pułkownik opuścił pokój, cicho zamykając za sobą drzwi. Zapadła kłopotliwa cisza. Paisley odetchnęła głęboko i utkwiała wzrok w dywanie.

– Chciałabym... iść do domu, Johnie-Trevorze – powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Oczy Johna-Trevora zwęziły się. Obserwował Paisley przez dłuższą chwilę, potem odezwał się tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu. – Nie.

## Rozdział 8

Dziewczyna poderwała głowę i otarła łzy z policzków.

– Nie? – powtórzyła. Siedziała sztywno z pogłębiającym się wyrazem niedowierzania na twarzy. – Co to znaczy „nie”?

John-Trevor powoli wstał i podszedł do niej. Położył ręce na oparciu krzesła i nachylił się tak, że prawie dotykał jej twarzy. Odchyliła się w tył, jak najdalej mogła.

– „Nie” oznacza przeciwieństwo „tak” – odparł niskim głosem. – Nie odwiozę cię teraz do domu. Nie licz na to.

– Dlaczego, na miłość boską? – spytała, mając nadzieję, że zabrzmiało to z należyтым oburzeniem. John-Trevor znalazł się tak blisko, tak kusząco blisko, że chciała zatopić palce w jego gęstych włosach, odnaleźć jego usta w pocałunku, który pozbawi ich obojga tchu. To z pewnością byłoby skierowaniem ich znajomości na właściwe tory. Ale nie, nie wolno jej. Przecież John-Trevor okłamywał ją, brał udział w tym wyreżyserowanym przedstawieniu, w które nawet teraz z trudem mogła uwierzyć. A scenariusz przygotował jej ojciec, William Blackstone. Boże drogi, William Blackstone jest jej ojcem! – No więc? – powtórzyła. – Dostanę odpowiedź?

– Widzisz, chronię swoją skórę – odparł. – Dowiedziałaś się dziś o wielu sprawach, ale twoja pamięć jeszcze ich nie przyswoiła. Co innego zabawiać się w „co

by było, gdyby" odnośnie twojego ojca, a co innego siedzieć twarzą w twarz z człowiekiem mówiącym: „Paisley, jesteś moją córką”. Człowiekiem, który dysponuje milionami dolarów.

– Ale dlaczego nie chcesz mnie wypuścić? Co to ma do rzeczy?

– To bardzo proste, Paisley. Przeanalizujesz wszystko, co dziś na ciebie spadło i nagle, w środku tego całego zamętu, olśni cię myśl, że skłamałem, odpowiadając na pytanie dotyczące powodu mojego pobytu w Denver.

– Już to odkryłam, jeśli chcesz wiedzieć. – I jesteś wściekła jak diabli.

– Tak. Gniewam się i... – Próbowала ukryć drżenie głosu I jest mi przykro, bo sądziłam, że ty i ja... Wierzyłam, że łączy nas coś specjalnego i... ośmieszyłam się wtedy w restauracji, gdy powiedziałam, że cię kocham... podczas, gdy ty tylko wypróbowałyś mnie, czy jak to zechcesz nazwać, na polecenie... ojca. I te kłamstwa, wszystko było kłamstwem i... Johnie-Trevorze, chcę do domu.

– Nie.

– Nie masz prawa. Nie możesz trzymać mnie tutaj wbrew mojej woli. To nielegalne. I przestań mówić „nie”.

Tęcza marzeń – Nie, nie zawiozę cię teraz do domu. I nie, nie wszystko było kłamstwem. I tak, rzeczywiście łączy nas coś specjalnego. I nie, nie ośmieszyłaś się w restauracji mówiąc, że mnie kochasz, bo... – Potrząsnął głową. – Niech to, mieszam ci w głowie. Tyle dziś

musiałaś znieść, że twoim obwodom mózgowym grozi śpięcie.

Wyprostował się i przejechał ręką po włosach.

– Paisley, słuchaj uważnie. Było mi bardzo trudno okłamywać cię, przysięgam, ale miotałem się między tobą a pułkownikiem. Znam go od lat, często dla niego pracowałem i darzę go szacunkiem. Nie prosił mnie, bym cię ocenił, wybadał, czy jesteś taka, jaka powinna być córka pułkownika Blackstone'a. Nic takiego. Głównym celem było sprawdzenie, co byłoby najlepsze dla ciebie.

John-Trevor zaczął chodzić w tę i z powrotem przed krzesłem dziewczyny. Obserwowała go szeroko otwartymi oczami, przekręcając głowę na boki, jak w czasie oglądania tenisowych rozgrywek.

– To, co powiedział dziś pułkownik – mówił dalej detektyw – jest absolutną prawdą. On uszanuje twoją decyzję, nawet jeśli postanowisz go odrzucić. Jeśli chodzi o mnie, rzeczywiście, okłamałem cię odnośnie mojego zadania, a wszystkie aluzje do osoby twojego ojca nie były tylko częścią towarzyskiej pogawędki. Ale, do diabła, co mogę zrobić, byś uwierzyła, że cała reszta to prawda, że zakochałem się w tobie i kocham cię? Bóg mi świadkiem, nie chciałem tego, ale nic nie poradzę, że tak się stało. Tylko dlaczego miałabyś w to uwierzyć po tym, jak cię okłamałem?

– Wierzę ci, Johnie-Trevorze – odezwała się Paisley, czując kolejny przyływ łez.

– Kłamstwa pozostają kłamstwami. Wiem, że

oddzielają nas jak mur, uniemożliwiając... – Zatrzymał się w pół kroku i z niedowierzaniem spojrzął na dziewczynę. – Co? Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że wierzę ci. Wypełniłeś zadanie dla pułkownika Blackstone'a i kłamstwa były koniecznym środkiem. Rozumiem to teraz. I tak się cieszę, że jednak mnie kochasz. Okazuje się, że drobna pomoc wyszła losowi na dobre. Kocham cię. Po tych wyznaniach zrobisz najlepiej, jeśli mnie pocałujesz, bo... Och! – Westchnęła, gdy John-Trevor rzucił się do niej. Ich usta spotkały się w gorącym pocałunku. W następnej chwili gwałtowną namiętność zastąpiła delikatność, a języki ponaglone wzrastającym pożądaniem, splotły się.

Uniosła ramiona, by objąć go za szyję. Czuła bliskość jego ciała, napór rozpalonej namiętności. Serca rozszalały się, a oddech stawał się płytszy w miarę jak dawali z siebie więcej, więcej czerpali i pragnęli czegoś jeszcze.

John-Trevor kocha ją. Paisley ze szczęścia zakreśliło się w głowie. Był każdym z kolorów w jej tęczy marzeń, słońcem, które przepuszczone przez szkiełka witraża, zabłyśnie migocącym pięknem w najciemniejsze dni. Był jej życiem, jej drugą połową. John-Trevor. Kochała go.

Jej piersi, po raz pierwszy tak wrażliwe, nabrzmiały bólem, który, wiedziała to instynktownie, mógł złagodzić tylko dotyk mężczyzny. Ciepło pulsujące w głębi ciała było ogniem, który tylko on mógł ugasić. Pragnęła, by nasycił ją, wypełnił całym sobą. Staną się jednym, od dziś już na całe życie, dzięki miłości zjednoczą siły i razem



stawia czoło nieznannej przyszłości.

„Stało się” – powiedział sobie John-Trevor, czując żywszy obieg krwi. Pierwszy raz w życiu wyznał kobiecie miłość. Nie, nie „kobiecie”, Paisley. Jego Paisley. Kochał ją, a ona jego i, Boże, było to fantastyczne uczucie.

Usiłował sobie przypomnieć, dlaczego przed kilku laty obiecał, że się nie zakocha. To musiało być przeznaczenie. Los trzymał na wodzy jego emocje, dopóki nie pojawiła się Paisley. A gdy już ją znalazł, nie zamierzał utracić. Nie dopuści, by ta szansa się zmarnowała.

Ale...

Podniósł głowę i wziął głęboki oddech.

– Paisley – zwrócił się do dziewczyny, nie rozluźniając uścisku.

– Tak? – spytała rozmarzonym głosem, wolno otwierając oczy.

– Musimy wyjaśnić sobie jeszcze jedną kwestię. – Teraz?

– Tak. Od początku wiedziałem, że jesteś córką pułkownika Blackstone'a i zdawałem sobie sprawę, jak bogatą kobietą możesz się stać pewnego dnia. Skąd wiesz, że nie chcę ożenić się z tobą dla pieniędzy?

– A chcesz?

– Nie, oczywiście, że nie. Uśmiechnęła się.

– To chyba załatwia sprawę. Potrząsnął głową.

– Tak ufasz ludziom, wierzysz, że prezentują ci swoje prawdziwe „ja”. Akceptujesz ich bez zastrzeżeń. Paisley,

co zamierzasz odpowiedzieć pułkownikowi?

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Och, Johnie-Trevorze, nie chcę teraz o tym myśleć. Mama uczyła mnie, że przed podjęciem ważnej decyzji należy się przede wszystkim przespać. Muszę najpierw oswoić się z myślą, że pułkownik Blackstone jest moim ojcem, na razie nie zdaję sobie w pełni z tego sprawy. Nie potrafię jeszcze się zdecydować.

– Ale...

– Johnie-Trevorze, proszę. Czy nie możemy skoncentrować się na nas i naszej miłości? To najpiękniejszy moment w naszym życiu i nic nie ma teraz większego znaczenia.

– To nie takie proste, Paisley. Fakt, że pułkownik jest twoim ojcem, ma niewątpliwy wpływ na naszą miłość. On może ci zaofiarować więcej, niż kiedykolwiek chciałaś mieć.

– To w niczym nie zmienia moich uczuć do ciebie.

– A jednak może. Chyba jeszcze nie rozumiesz, jaka przyszłość otwiera się przed tobą. Nie mógłbym znieść, gdyby nasza miłość powstrzymała cię od wzięcia wszystkiego, czego ja nie mógłbym ci dać. A gdybyś wybrała pułkownika, a potem z biegiem czasu odkryła, że nie masz ochoty być ciągle wystawiana na widok publiczny, jak on przez większą część życia? Zechcesz nadgonić te stracone lata, gdy go nie znałaś i będziesz rozdarta między chęcią spędzania czasu z nim i ze mną. Widzisz już, jak to się wszystko zazębia?

Paisley obserwowała go w milczeniu, zastanawiając się, dlaczego nagle tak się rozzłościł. I dlaczego twierdził, że będzie musiała wybierać między ojcem a nim? Przecież może kochać obu. I nagle, dzięki dopiero rozbudzonej kobiecej mądrości, zrozumiała. John-Trevor bał się miłości. Zdołał powiedzieć jej o swym uczuciu, ale niełatwo mu przewyciężyć te wszystkie lata ostrożności.

Z kuszącym uśmiechem zbliżyła się do jego ust.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Ale dzisiaj... – Pocałowała jeden kącik jego ust, potem drugi. – Dzisiaj jesteśmy tylko my. Ty i ja. Kocham cię, Johnie-Trevorze i chcę iść z tobą do łóżka. – Otarła się o niego biodrami, a gdy jęknął, prowokująco ciągnęła: – Chyba chcesz tego. Chcesz? A może nie chcesz, Johnie-Trevorze?

– Boże – mruknął i przyłgął do jej ust.

Nawet czując wzbierającą falę pożądania, John-Trevor próbował odsunąć się od dziewczyny, przekonując sam siebie, że nie jest to właściwa pora. Paisley otrzymała już swoją porcję emocji na dzisiaj. Musi się cofnąć. Musi się zatrzymać. Musi...

– Kochaj mnie, Johnie-Trevorze – szepnęła obok jego ust. – Tak długo czekałam na ciebie, na tę chwilę, na naszą miłość. Kocham cię i pragnę. To przecież nasza noc.

Opór Johna-Trevora słabł, w miarę jak detektyw pogrążał się w rozszalałym morzu namiętności. Głuchy na brzmiały gdzieś pod czaszką głos rozsądku, całował Paisley z rosnącą niecierpliwością.

Nie istniało już nic prócz ich ciepłych ciał, otulonych zmysłową pajęczyną miłości. Nie istniało nic prócz pożądania i świadomości, że się kochają. Nie istniało nic prócz ich dwojga i chwili, w której mieli połączyć się w jedno.

John-Trevor przerwał pocałunek, by wziąć Paisley na ręce. Przeniósł ją do sypialni, której półmrok rozpraszało słabe światło wpadające z salonu.

Postawił dziewczynę na podłodze i odchylił leżący na łóżku koc. Ujął twarz Paisley w obie dłonie i zaglądając jej w oczy, cicho spytał:

– Na pewno tego chcesz?

– Tak – szepnęła.

Całował ją delikatnie, niemal z czcią, póki nie zaczęła drżeć. Powoli, bardzo wolno zdejmował z niej ubranie, pieszcząc ustami każdy kawałek skóry, który ukazywał się oczom. Jego rozpalony wzrok spoczął na koszulce z błękitnego jedwabiu, jakby na zawsze chciał utrwalić w pamięci ten kuszący widok. Po chwili trzęsącymi się rękami zdjął z niej, ozdobioną koronką, ostatnią część garderoby.

Jej drobne piersi miały idealny kształt – pełne, uniesione i kuszące. Przykrył je dłońmi i opuścił głowę. Lekko przesunął językiem po jednym sutku, a po chwili po drugim, aż naprężyły się w oczekiwaniu.

Przesunął się niżej, składając hołd każdemu centymetrowi jej ciała, dopóki jej kolana nie zaczęły drżeć tak silnie, że nie mogły jej utrzymać. Wtedy ułożył ją na

chłodnym prześcieradle i szybko zrzucił z siebie ubranie.

Wyciągnął się obok niej, opierając się na łokciu, i obserwował, jak Paisley przemierza oczami jego ciało od stóp do głów. Wyraz lęku, zdziwienia, pożądania i miłości pojawiał się na zmianę na jej twarzy, promieniował z jej oczu.

Wysunęła rękę w jego kierunku, ale zawahała się i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Jestem twój – odpowiedział, z trudem poznając swój zachrypnięty głos. – Cały twój, Paisley.

Uśmiechnęła się i na próbę dotknęła czubkami palców jego zarośniętego torsu. Jęk, który wyrwał się z jego ust, zachęcił ją. Śmielej już przesunęła ręką po jego skórze, napawając się sprężystością rozgrzanego ciała i podziwiając twardość mięśni.

Wiedziała, że jest w pełni podniecony, ale nie czuła lęku na myśl o chwili, w której ich ciała połączą się w jedno.

Odbierała wspaniałe ciało Johna-Trevora wszystkimi zmysłami. Wdychała zapach męskiego potu, mydła i wody po goleniu. Rysowała językiem wzory na jego ramieniu, delektując się słonym smakiem męskiej skóry.

Kropelki potu pojawiły się na czole Johna-Trevora. Z jego piersi wyrwał się cichy pomruk, gdy starał się zachować nad sobą kontrolę i nie ruszać się, nie chcąc ponaglać dziewczyny.

Wyraz jej twarzy zapamięta do końca życia. Był on intrygującym połączeniem niemal dziecięcego strachu z

pożądaniem tak kobiecym, tak namiętym i palącym, że przez chwilę miał wrażenie, iż jego skóra zacznie się palić.

Nigdy dotąd nie czuł się mężczyzną aż do tego stopnia, nie był aż tak świadomy swojej męskości i siły. A jednocześnie stał się podatny na ciosy i bezbronny. I to nie z powodu swojej nagości. Zdał sobie sprawę, że mimo jego fizycznej tężyzny ta delikatna kobieta, na którą patrzył, mogła go zniszczyć jednym słowem.

Na tym właśnie polega miłość.

Ta myśl nie przerażała go już tak bardzo, odkąd miłość wyszła z cienia, by mu objawić swoje istnienie. A jej imię brzmiało: Paisley Kane.

Drżącą ręką pieścił jej uda. Gładząc jej płaski brzuch, wyobraził sobie, że któregoś dnia w tym bezpiecznym schronieniu zamieszka ich dziecko.

Czując na sobie ręce Paisley, odkrywające dalsze zakątki jego ciała, obsunął swoją dłoń niżej, i jeszcze niżej, znajdując wilgotne ciepło, które już całkowicie przekonało go o jej gotowości.

Pocałował ją jeszcze raz, po czym, nie spuszczając oczu z jej twarzy, uniósł się nad nią.

– Kocham cię – powiedział zachrypniętym głosem.

– Kocham cię – odpowiedziała.

Wszedł w nią powoli, cały czas sprawdzając, czy na jej twarzy nie maluje się ból. Objęła rękami jego plecy i patrzyła mu w oczy. Widział w nich zaufanie i miłość.

– Teraz – powiedział.

Zacisnął usta i wdarł się w nią, pokonując naturalną barierę, czując nagłe napięcie i słysząc jej głośniejszy oddech. Zamarł, jego mięśnie dygotały. Po chwili, która wydawała mu się wiecznością, Paisley rozluźniła się i odetchnęła. Było to ciche westchnienie, bardzo kobiece, któremu towarzyszył lekki uśmiech.

Powoli odchylił się, by szybkim pchnięciem wejść w nią ponownie. Obserwował jej rozszerzone oczy, pociemniałe od narastającego pożądania. Przyspieszył ruchy, sięgał coraz głębiej i głębiej, dając jej z siebie wszystko, czym był jako mężczyzna. Przyjmowała go całym swoim kobiecym jestestwem, napawając się pięknem tego, co razem przeżywali, zachwycona doskonałą harmonią ich rozkołysanych ciał.

Głębiej i głębiej. Mocniej i szybciej. Gorąco. Pierścienie ciepła, na których unosili się z „tu i teraz” w odległą nierealność, do raju rozkoszy.

– Och! Johnie-Trevorze...

Ciało Paisley zacisnęło się na nim w przebiegających falami skurczach, a po chwili John-Trevor dołączył do niej tam, gdzie było miejsce tylko dla nich dwojga. Odrzucił głowę do tyłu i jęknął, czując wstrząsające nim dreszcze. Z zamkniętymi oczyma napawał się nimi, każdy z nich pozbawiał go siły. Po chwili opadł bezwładnie na Paisley.

Wczepiła się w niego mocno, powoli i niechętnie wracając z raju zmysłów do rzeczywistości. John-Trevor ześlizgnął się z niej, przytulił do siebie i naciągnął koc.

– Paisley! – zaczął, ale urwał.

Miał ściśnięte gardło i piekły go powieki. Wiedział, że każda próba ubrania w słowa tego, co czuł, kochając się z Paisley, napelni jego oczy łzami, których nie będzie mógł powstrzymać.

Paisley położyła dłoń na jego policzku, lekki dotyk jak muśnięcie piórem, po czym uśmiechnęła się. Utraciła niewinność, ale rozbudzono w niej kobiecość. Była tak zakochana...

Wystarczyło jej jedno spojrzenie na Johna-Trevora, by upewnić się, że to, co przed chwilą miało miejsce, znaczyło dla niego równie dużo. Łzy rozbłysły w jej oczach. Nie próbowała ich ukryć, ani zetrzeć, gdy spływały po policzkach, mieniając się jak małe diamenty w dochodzącym z salonu przytłumionym świetle lamp.

– Kocham cię – szepnął John-Trevor. – I ja cię kocham – odpowiedziała.

Nie padły żadne inne słowa, ale słowa nie były tu potrzebne.

Paisley zamknęła oczy. Zadowolona, nasycona i szczęśliwa leżała w ciepłej i bezpiecznej przystani ramion Johna-Trevora, póki nie otoczyła ją zakrywająca wszystko mgła.

Mężczyzna obserwował twarz dziewczyny. Nie ruszał się, by nie zakłócać jej snu. Czas zatrzymał się w miejscu, gdy leżał obok niej i napawał się jej widokiem.

Ale przytłumiony do tej pory głos rozsądku, ponownie dał o sobie znać. Powróciło poczucie rzeczywistości.



Wkrótce powinien zawieźć Paisley do domu, bo inaczej grupa szaleńców, mieniająca się jej rodziną, wyśle po nią siły specjalne. Musi pogodzić się z faktem, że Paisley ma swoje życie, swój świat. Świat, w którym zaistniał pułkownik Blackstone. Paisley jeszcze nie zdała sobie sprawy, co mogło oznaczać pojawienie się ojca w jej życiu, nie rozumiała, jak wielkie zmiany pociągnie za sobą publiczne uznanie jej za córkę Blackstone'a.

Nieświadomie przytulił ją mocniej, budząc ją na krótką chwilę, po której znów zapadła w sen. Ukrył twarz w czarnej aureoli jej włosów, czując zaciskającą się na żołądku zimną obręcz strachu.

Choć kochali się tak bardzo, istniało niebezpieczeństwo, że ją utraci, że Paisley wybierze świat, w którym nie ma dla niego miejsca.

Pierwszy raz kochał tak mocno i nie było nic, co chroniłoby jego sny o przyszłości przed brutalnym zderzeniem z rzeczywistością. Nie potrafił spoczywać lekko na marzeniach. Delikatna Paisley, tak drobna i krucha, miała nad nim całkowitą władzę.

Owszem, kocha go, ale musi wybrać, a decyzja ta zaważy na jej dalszym życiu.

Mógł ją stracić i na samą myśl o tym ogarnęło go smutne przygnębiające uczucie samotności.

## Rozdział 9

Następnego wieczora John-Trevor jechał zatłoczonymi ulicami w stronę domu Paisley. Nie widzieli się, odkąd o drugiej nad ranem przywiózł ją z hotelu, gdzie przed wyjściem kochali się jeszcze raz, tym razem powoli i zmysłowo.

Pocałował ją w progu domu, gdy sennym głosem mówiła, że go kocha. Uśmiechnął się, gdy dotknęła witraża przed otworzeniem drzwi.

Był już pewien, że Paisley osadziła ich miłość w którymś szkiełku. Cieszyło go to, choć jednocześnie z niezadowolaniem odkrył w sobie sentymentalnego romantyka.

Parkując przed bramą, zmarszczył brwi. Należało pokonać tyle przeszkód, zanim otworzy się ich furтка ku szczęściu.

Największy problem stanowił pułkownik Blackstone. Chociaż nie, to nieuczciwe, zdecydował John-Trevor, wysiadając z samochodu. Nie powinien określać pułkownika jako „problem”. W końcu ten mężczyzna odkrył właśnie, że ma wspaniałą córkę i chciał zająć istotne miejsce w jej życiu, czego był pozbawiony przez dwadzieścia cztery lata.

Tylko Paisley mogła rozsypać nici, które związały losy tylu ludzi. Wszystko, co mógł zrobić John-Trevor, to być w pogotowiu i obserwować przebieg wydarzeń.

Powoli zbliżył się do ganku, przypominając sobie treść porannej rozmowy telefonicznej. Paisley zadzwoniła z pytaniem, czy John-Trevor mógłby umówić ją z pułkownikiem Blackstone'em na wieczór i zawieźć do jego domu. Powiedziała jeszcze „kocham cię” i odłożyła słuchawkę.

Był to najdłuższy dzień w życiu detektywa.

Zanim wspiał się po schodach, Paisley otworzyła drzwi. Miała na sobie brązowe sztruksy i pamiętną czerwoną kurtkę. Serce Johna-Trevora zabiło dwa razy szybciej.

– Chodź do mnie.

Śmiejąc się, zbiegła po schodach, by wtulić się w jego objęcia.

– Jestem.

– Musimy już jechać. Boże, jak ja za tobą tęskniłem.

Nie dał jej dojść do słowa, zakrywając jej usta swoimi. Długi, namiętny pocałunek pozbawił ich tchu.

Gdy skończyli, Paisley, biorąc głęboki oddech, wyjaśniła:

– Wyszłam do ciebie, bo Maxine i szczeniaki są już w domu, a Bobby bardzo przejął się zaleceniami doktora Morley'a. Szczeniakom wyjdzie to na dobre, ale nie byłam pewna, czy spodoba ci się to paradowanie w maseczce chirurgicznej na twarzy, i to już od progu. Gracie, żeby uczcić powrót Marine, zmieniła kolor włosów i obecnie mają zielony odcień. Niesamowity zielony odcień, ale Bobby zapewnił ją, że jest jej do twarzy. Profesor wciąż rozważa projekt zrobienia misek dla psów z ciasta, żeby

oszczędzić pracy Bobby'emu. Szczeniaki, gdy będą wystarczająco duże, by dostawać obiad w misce, zjedzą ją na deser. To ciekawy pomysł, choć... Och, Johnie-Trevorze, tak się denerwuję przed spotkaniem z pułkownikiem.

John-Trevor zadał sobie trud, by przebiec myślami przez to, co usłyszał właśnie od Paisley, i ku swojemu zdziwieniu i radości stwierdził, że udało mu się wszystko zrozumieć!

Pocałował ją.

– To normalne, że się denerwujesz – uspokajał ją. Do diabła, w końcu on też się trząsał. – Pułkownik musi również być niespokojny. Chodźmy już, bo zmarzniesz.

Wsiedli do samochodu. John-Trevor już miał przekreślić kluczyk w stacyjce, gdy nagle cofnął rękę.

– Nie mogę – powiedział.

– Nie możesz? – powtórzyła, wpatrując się w niego.

Odwrócił się do niej, objął za szyję i przyciągnął do siebie. Nie mógł oprzeć się pokusie, by ją pocałować.

Witaj znowu, Johnie-Trevorze, zaśpiewało serce dziewczyny. Och, jego usta były takie gorące – tęskniła za nimi przez cały dzień, który ciągnął się w nieskończoność.

Powoli uniósł głowę.

– Dziękuję. Potrzebowałem tego. – Po chwili zmarszczka przecięła jego czoło. – Paisley, muszę cię o coś spytać. Byłaś taka senna, gdy przywiozłem cię rano do domu, a przez telefon nie chciałem o tym rozmawiać. Czy... czy... nie masz mi za złe tej nocy... tego, że... wiesz,

tego co robiliśmy... Jeśli oczywiście chcesz o tym rozmawiać.

Uśmiechnęła się.

– Johnie-Trevorze, jestem wzruszona twoją troskliwością. Nie żałuję tego, że spędziliśmy razem tę noc. Nie. Było cudownie, nie wyobrażałam sobie nawet, że mogę się tak czuć. Kocham cię z całego serca. A to, co przeżywaliśmy razem, było bajeczne. – Mrugnęła figlarnie. – Spróbujemy kiedyś jeszcze raz?

Zaśmiał się, wyprostował i zapalił samochód.

– Możesz na to liczyć. – Ich spojrzenia spotkały się i uśmiech Johna-Trevora powoli zniknął. – Kocham cię, Paisley.

– Gdybyś wiedział, jak się z tego cieszę. „Cieszę” to za słabe słowo, ale chyba wiesz, co czuję.

Przytaknął i ruszyli.

W czasie jazdy nie odzywali się, pogrążeni w myślach. Wkrótce zostawili za sobą miejski ruch, cały czas zbliżając się do pobliskich gór. John-Trevor skręcił z autostrady w wijącą się drogę, gdzie migocące światła Denver były już niewidoczne. Samochód jechał dalej po pogrążonym w ciemności terenie. Jeszcze kilka kilometrów i John-Trevor zatrzymał się.

– Zobacz – rzekł, wskazując widok przed nimi.

– Tam stoi dom pułkownika. Paisley przysunęła się bliżej szyby.

– Boże, jaki ogromny. Jest ciemno i nie widzę go najlepiej, ale te wszystkie światła dokoła...

– Sam go zaprojektował – mówił John-Trevor.

– To tylko jedno z jego hobby. Budynek jest tak wkomponowany w skałę, by wydawało się, że dom stanął tu pierwszy, a dopiero potem ujawniła się otaczająca go góra. Składa się z trzech poziomów ułożonych schodkowo, oddzielonych od siebie przegrodami z czerwonego drewna. W każdym pokoju okno zajmuje całą ścianę, od podłogi po sufit. Roztacza się z nich wspaniałe widoki w każdym kierunku. Dom jest rzeczywiście olbrzymi, ale bardzo wygodny i przytulny. George mieszka tu na stałe, a gospodyni, która sprząta i gotuje, przychodzi codziennie. Dziennikarze z wielu czasopism związanych z architekturą i projektowaniem wnętrz prosili Blackstone'a o zgodę na publikację artykułu i zdjęć tego arcydzieła, ale zawsze odmawiał. To jego przystań.

John-Trevor ponownie uruchomił silnik, Paisley nadal wpatrywała się w odległe światła domu pułkownika.

„Och, *mon Dieu*”, pomyślała, czując się zagubiona. Chciała, żeby John-Trevor zawrócił i zawiózł ją z powrotem do miasta, do jej domu, do jej świata. Pragnęła wziąć go za rękę i uciekać, nie pozwalając niczemu i nikomu stanąć na drodze ich wspólnej przyszłości i szczęścia.

Ale nie mogła tego zrobić, ponieważ pułkownik Blackstone był jej ojcem. Jej ojcem. To na wspomnienie o nim w oczach matki zapalały się łagodne światełka, a na ustach pojawiał się tajemniczy uśmiech. To on podarował matce witraż, jej tęczę marzeń. Kandi kochała pułkownika

Blackstone'a, a Paisley była owocem tej miłości.

Teraz musiała zdecydować, jakie miejsce pułkownik zajmie w jej życiu. Ojciec. Brzmiało to dziwnie, ponieważ ojcowie byli zawsze dla niej obcymi panami. I nagle miała ojca, i miała również Johna-Trevora, najwspanialszego mężczyznę na świecie, który był jej życiem i jej miłością. Boże drogi, za dużo wrażeń spadło na nią jednocześnie.

Tymczasem John-Trevor kierował się na szczyt góry. Światła stawały się coraz wyraźniejsze, w pełni ujawniając rozmiary domu. W końcu samochód zatrzymał się na podjeździe tuż obok frontowych drzwi.

– Gotowa? – zapytał John-Trevor.

Jej wahanie nie trwało dłużej niż minutę. – Tak. Przytrzymał ją za rękę.

– Paisley, pamiętaj, że nie jesteś już sama. Tworzymy teraz całość, dwie połówki jabłka. Gdy tylko będziesz mnie potrzebowała, daj znak. Jeśli chcesz porozmawiać z pułkownikiem w cztery oczy...

– Nie, nie. Chciałabym, żebyś poszedł tam ze mną.

– Dobrze, kochanie.

Trzymając się za ręce, weszli na stopnie prowadzące na szeroki ganek. John-Trevor nacisnął dzwonek. George natychmiast otworzył drzwi.

– Dobry wieczór, panno Kane, panie Payton – powitał ich. – Proszę do środka. – Weszli do szerokiego holu wyłożonego miękkim dywanem. – Jak się sprawuje Maxine?

– Świetnie sobie radzi – odparła z uśmiechem Paisley. –

A szczeniaki są urocze. Bobby opiekuje się nimi jak najtroskliwszy ojciec.

– To dobrze. – George pokiwał głową. – A co... eee... Zastanawiałem się, jak się miewa Gracie? To taka miła kobieta i pomyślałem sobie, że spytam, co u niej słysząc i... – Odchrząknął.

– Jak zwykle przepętnia ją energia – pośpieszyła z odpowiedzią Paisley.

– Jej włosy są obecnie zielone. Nie widziałam jeszcze takiego koloru, ale najbardziej przypomina to zielony. Ufarbowała je, by uczcić powrót Maxine z małymi.

– Czy nie jest niesamowita? – George w uśmiechu pokazał zęby. – Niezależnie, jaki to naprawdę kolor, Gracie musi wyglądać wspaniale. Tak, proszę pana. Mogę się założyć, że wspaniale. Jestem pewien, że... e... Proszę ją serdecznie pozdrowić ode mnie, jeśli to nie sprawi pani kłopotu.

– Oczywiście, George – zapewniła go Paisley.

George był całkowicie pochłonięty obserwowaniem czubków swoich butów.

– Pułkownik czeka w swoim ulubionym salonie, panie Payton – oznajmił, ze wzrokiem nadal skierowanym w dół. – Mogą państwo do niego iść. – Odwrócił się i pośpiesznie odszedł.

– Gracie i George? – zamruczał John-Trevor. – To dopiero ciekawa para.

– Wzruszając ramionami, dodał: – W końcu George Burns stanowi ze swoją Gracie świetny zespół, więc... –



Zerknął na Paisley. Stała z szeroko otwartymi oczami, a jej twarz była jeszcze bledsza niż zwykle. Z pewnością dziewczyna nie słyszała ani słowa z tego, co powiedział. – Paisley, weź głęboki oddech i odpręż się. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Moja szczęśliwa gwiazdo, gdzie jesteś, rozpaczliwie wołała dusza Paisley. Czyżby była zmuszona radzić sobie sama? Cóż, los zrobił, co mógł, towarzyszył jej aż do tego momentu. Ostateczną decyzję musiała podjąć bez niczyjej pomocy.

John-Trevor wziął ją łagodnie za łokieć i skierował w głąb holu. Zatrzymali się w progu dużego pokoju. Z ust Paisley wymknęło się ciche westchnienie.

Nie widziała innych pomieszczeń w tym domu, ale instynktownie wiedziała, że to tu pułkownik najbardziej lubi spędzać czas. Ogromne półki z książkami zajmowały miejsce po lewej i prawej stronie kominka, w którym buzował wesoły, trzaskający ogień. Skórzane fotele o wygodnych oparciach ustawione zostały frontem do płonących szczap. Na pluszowym dywanie w kolorze czekolady stało jeszcze kilka, mniej ozdobnych krzeseł i sofa. Pokój był uroczy, w chłodne zimowe wieczory zapraszał do ognia. Kusił, by zwinąć się w kłębek na jednym z foteli, latem musiały go ogrzewać wpadające przez olbrzymie okna promienie słońca.

– Dobry wieczór, pułkowniku – odezwał się John-Trevor. Blackstone natychmiast zerwał się z fotela. Miał na sobie czarne spodnie i brązową marynarkę z aksamitu z

wyłogami z czarnego atłasu.

– Proszę, wejdźcie – zaprosił ich z uśmiechem. – Paisley, usiądź tu przy mnie. Johnie-Trevorze, przysuń sobie krzesło. Napijcie się czegoś?

– Nie, dziękuję – Oboje odmówili jednocześnie.

Paisley siadła na miejscu wskazanym przez pułkownika czując, że zapada się w rozkosznie miękką gąbkę. John-Trevor postawił krzesło tuż obok dziewczyny i również usiadł.

– Pułkowniku – zaczął. – Paisley prosiła, żebym był przy waszej rozmowie. Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie, Johnie-Trevorze. – Pułkownik westchnął. – Cóż to był za długi i niesamowity dzień, Paisley. Ilekroć spojrzałem na zegarek, zdawało mi się, że przestał chodzić.

– Ja też miałam takie wrażenie – odezwała się cicho dziewczyna. „I ja” – dodał w myślach detektyw. Boże drogi, napięcie w pokoju stawało się nieznośne. John-Trevor miał świadomość, że to, co zostanie powiedziane tego wieczoru, będzie miało wpływ na dalsze losy wielu ludzi, w tym także na jego życie i przyszłość. Jednak mógł tylko słuchać, obserwować, wspierać Paisley i zachowywać się lojalnie wobec pułkownika, trzymając usta zamknięte na kłódkę. W żaden sposób nie miał wpływu na sytuację i bardzo, ale to bardzo nie podobał mu się taki stan rzeczy.

– To może ja zacznę – odezwała się Paisley głosem wyższym niż zwykle. – Jestem co prawda gościem i nie

chciałabym, by wyglądało to niegrzecznie, ale...

– Śmiało, moje dziecko – zachęcił ją pułkownik Blackstone. Wzięła głęboki oddech.

– Mam nadzieję, że zrozumiecie, jak trudno mi oswoić się z myślą, że po tych wszystkich latach poznałam swojego ojca. Człowieka, którego nie spodziewałam się spotkać nigdy. Muszę ciągle sobie powtarzać jak formułkę litanii... Pułkownik Blackstone jest moim ojcem. Patrzę na ciebie, a potem w lustro, ale widzę w nim tylko mnie i podobieństwo do matki. Nie wątpię w to, że jesteś moim ojcem, tylko trudno mi to...

– Rozumiem – odezwał się pułkownik. – Czułem to samo, gdy kilka tygodni temu dowiedziałem się, że mam córkę.

– Mama bardzo cię kochała – mówiła dalej Paisley. – Z pewnością wiesz o tym, ale chciałam, żebyś usłyszał to z moich ust. Jestem pewna, że gdyby miała wyjść za męża, wybrałaby ciebie. Jednak nie stało się tak. Cóż...

była jak wiatr, przenosiła się z miejsca na miejsce, od czasu do czasu opuszczała się na ziemię, by odpocząć i znów podrywała się do lotu. Tak, miałam cudowną matkę. Zawsze blisko, gdy jej potrzebowałam, nigdy nie była aż tak zajęta, by nie wysłuchać moich zwierzeń. Pułkownik Blackstone pokiwał głową.

– Kandi była wyjątkowa. Nie pokochałem już innej kobiety. A jednak zraniłem ją swoją arogancją. Paisley, nie możesz temu zaprzeczyć. Myślałem, że za pieniądze mogę kupić wszystko. Myliłem się. Gdy zdałem sobie

sprawę, że Kandi nie zostanie ze mną, pozwoliłem jej odejść, by nie sprawiać jej dalszych przykrości. Cieszę się, że zdecydowała się wspominać dobre chwile, które spędziliśmy razem i nie skupiała się na moich końcowych błędach.

– Dużo o tym myślałam. Od wczoraj kłębi mi się w głowie. Pytania, pytania i żadnej odpowiedzi.

– Jakie pytania?

– Jesteś moim ojcem, a ja twoją córką. Dlaczego to musi pociągać za sobą takie komplikacje. Dlaczego mówisz o nowym stylu życia, o nowym świecie, w którym się znajdę? Przecież, jeśli nie przyjmę twoich pieniędzy, których rzeczywiście nie potrzebuję i nie chcę w równym stopniu, jak mama, możemy po prostu odwiedzać się jak ojciec z córką i lepiej się poznać.

– Och, to nie będzie takie proste – westchnął pułkownik. – Faktem jest, że tu, w Kolorado, prasa widzi we mnie bogacza. To śmieszne, ale traktują mnie jak maskotkę stanową. Biedny chłopiec, który sam do wszystkiego doszedł, oni lubią takie historie. Ktoś rozpoznał mnie zeszłej nocy, gdy udawałem kelnera, i reporterzy dzwonią do mnie od rana. Nie uwierzyłabyś ile razy, odkąd tu mieszkam, musiałem zmieniać telefon, ale oni zawsze znajdą sposób, by zdobyć nowy numer.

– Jak pan załatwił sprawę z prasą? – spytał John-Trevor.

– George wyznał im w tajemnicy, że z restauracją, a zwłaszcza z tamtym stolikiem, jestem związany

uczuciowo ze względu na swój dawny romans. Musiałem udawać bogatego i szalonego staruszka, ale to odciągnęło uwagę tych pismaków od tego, kto siedział przy stoliku, który obsługiwałem.

– Sprytne zagranie! – pochwalił John-Trevor.

– Problem w tym, Paisley – kontynuował pułkownik – że jeśli zorientują się, że tu przyjeżdżasz lub ktoś zobaczy, że ja cię odwiedzam, reporterzy zaczną węszyć. Albo dojdą do wniosku, że jesteś moją kochanką, albo odkryją prawdę. Nawet jeśli złożysz oświadczenie, że nie przyjmiesz moich pieniędzy ani teraz, ani po mojej śmierci, nikt ci nie uwierzy. Twoje życie będzie komentowane w prasie, co zwykle bywa udziałem bogatych ludzi.

– Z tego co pan mówi – włączył się John-Trevor – widać, że Paisley ma tylko dwa wyjścia. Albo na zawsze wycofać się z pana życia, albo pograżyć się w nim na dobre. Czarne albo białe, nie ma połowicznych rozwiązań.

– Dokładnie – przytaknął Blackstone.

– Teraz rozumiem – powiedziała cicho dziewczyna i odwróciła głowę w stronę kominka.

Minęło kilka minut, a w pokoju nadal panowała cisza. John-Trevor i pułkownik Blackstone w milczeniu obserwowali Paisley, która wpatrywała się w ogień.

– Pułkowniku – odezwała się w końcu, spotykając jego spojrzenie. – Pamiętasz czarną atlasową sukienkę, którą nosiła mama? Bez ramiączek, na górze przylegała ściśle do ciała, a od pasa rozszerzała się, miała mnóstwo

falbanek z przejrzystego szyfonu na sztywnej halce. Gdy mama obracała się, szyfon wirował razem z nią, sprawiając wrażenie unoszących ją skrzydeł.

– Tak, pamiętam. W końcu to mój projektant wymyślił ją specjalnie dla Kandi.

Paisley uśmiechnęła się.

– Może dlatego tak ją lubiła. Gdy byłam małą, mama często zakładała ją specjalnie dla mnie i tańczyłyśmy po pokoju w rytm piosenek, które śpiewała.

Pułkownik skinął głową.

– Mogę to sobie bez trudu wyobrazić. Pamiętam też dzień, gdy kupiłem Kandi ogromny bukiet od ulicznej kwiaciarki. Szliśmy ulicą i Kandi każdą napotkaną osobę obdarowywała jedną różyczką. Wywołała uśmiech na twarzy tylu ludzi... A jeszcze kiedyś...

Rozmowa Paisley z ojcem całkiem naturalnie popłynęła dalej. Po chwili John-Trevor dyskretnie wstał i skierował się w drugi koniec pokoju, gdzie, jak pamiętał, stała butelka brandy. Sam skryty, w półmroku, obserwował i słuchał ojca i córki dzielących się wspomnieniami o kobiecie, która znaczyła tak wiele dla każdego z nich, a której Johnowi-Trevorowi nie dane było poznać.

Zamiast powoli sączyć trunek, wlał w gardło całą zawartość kieliszka z nadzieją, że paląca ciecz rozproszy narastający gdzieś koło serca strach.

Więź między Paisley i pułkownikiem Blackstone'em stawała się niemal widoczna, była niczym jedwabne nici oplatające ich coraz ciaśniej.

Gdyby nie zakochał się w Paisley, cieszyłby się z takiego obrotu sprawy i w duchu klepałby się po ramieniu w poczuciu dobrze wypełnionego zadania. Ale stało się inaczej. Był zakochany w Paisley i tego wieczoru zauważył, że zamiast radosnego blasku słońca, nad jego głową zaczynają gromadzić się ciemne chmury.

Godzinę później pułkownik Blackstone ocknął się.

– Boże, ależ się rozgadaliśmy. Która to godzina?

– Było tak wspaniale – powiedziała Paisley ze wzruszeniem. – Wysłuchałam tylu historii i mogłam porozmawiać o mamie z kimś, kto ją kochał. Nie umiem wypowiedzieć, ile ten wieczór dla mnie znaczy.

– I dla mnie. – Pułkownik uśmiechnął się ciepło. – Straciliśmy wiele lat, Paisley, ale nie ma sensu tego roztrząsać. Mam tylko nadzieję, że przyszłość okaże się dla mnie łaskawsza i pozwolisz mi cieszyć oczy swoim widokiem przez resztę mych dni. Czy... czy podjęłaś już decyzję odnośnie mojej osoby?

John-Trevor zeszywniał, zaciskając szczęki aż do bólu. Postawił na stoliku pusty kieliszek i utkwiał wzrok w dziewczynie.

– To oczywiste, że jesteś moim ojcem, a ja twoją córką – powiedziała. – Jakoś poradzimy sobie z dziennikarzami. Nie potrafiłabym zniknąć z twego życia teraz, gdy dopiero zaczynamy się poznawać. Tak jak nie potrafiłabym nagle zostawić Johna-Trevora. – Spojrzała na krzesło, na którym powinien siedzieć, dopiero teraz zdając sobie sprawę z jego nieobecności. – Johnie-Trevorze?

– Tu jestem. – Powoli podszedł do ognia i oparł się ramieniem o gzyms nad kominkiem.

Pułkownik Blackstone ścisnął Paisley za ramię, uśmiechając się radośnie.

– Nie zapomnę tego wieczoru – zapewnił ją. – Mam córkę! Córkę! I być może będę miał również zięcia.

– I ja bym tego chciał – przytaknął detektyw dość ponuro. – Oficjalnie nie prosiłem jeszcze Paisley o rękę, ale bardzo ją kocham.

– Uczcijmy to szampanem. – Pułkownik zerwał się z fotela. Paisley również się podniosła.

– Chwileczkę Williamie. Gracie, Bobby i profesor są częścią mojej rodziny. Och, i Maxine.

– Naszej rodziny, Paisley – odparł pułkownik. – O nic się nie martw, zajmiemy się tym później. Teraz pora na mały toast. Poproszę George'a, by się przyłączył. Napijemy się za pogodną i radosną przyszłość. – Wciąż uśmiechając się, opuścił pokój.

Paisley podeszła do Johna-Trevora, objęła go w pasie i oparła głowę na jego ramieniu. Detektyw przytulił ją.

– Kochanie – powiedziała. – Wydaje mi się, że to wszystko jest cudownym snem i nie chcę się obudzić. Naprawdę się pobierzemy?

– Tak – cicho przytaknął. – Jeśli przyjmiesz moje oświadczenia. Uścisnęła go.

– Oczywiście, że przyjmę. Kocham cię. Wszystko dzieje się tak szybko, ale dziś nie chcę się zastanawiać nad tym, co będzie. Dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy.



Tak cię kocham. I w dodatku jako zwieńczenie mojego – już i tak wspaniałego tortu – mam ojca, który cieszy się, że mnie odnalazł.

Rozbłysła moja tęcza marzeń. Jestem taka szczęśliwa. Pocałował ją w czubek głowy.

– To dobrze. Zasługujesz na to. Tak właśnie powinno być. – Przygarnął ją mocniej i usłyszał ciche westchnienie, gdy wtuliła się w jego ramiona.

Mimo to John-Trevor, stojąc z pustym wzrokiem utkwionym gdzieś w suficie, coraz silniej odczuwał narastający w żołądku strach, obecny w każdym głuchym uderzeniu serca.

Miłość była dokładnie taka, jak to sobie wyobrażał. Przerazająca.

## Rozdział 10

– Panno Kane – zagadnął ją pierwszy ze stojących na schodach biblioteki reporterów. – Czy to prawda, że wzięła pani potajemnie ślub w Las Vegas?

– Gdzie pani chciałaby mieszkać? – pytał inny, przepychając się bliżej. – Dysponując pieniędzmi pułkownika Blackstone'a, może pani spełnić każde swe marzenie.

– Czy pułkownik zamieszka z panią i pani mężem?

– Czy jest pani już mężatką? A jeśli nie, kiedy odbędzie się ślub?

– Co stanie się z ludźmi mieszkającymi obecnie w pani domu? Czy nadal będą korzystać z pani... dobroczynności?

– Czy to prawda, że pan Payton wrócił do Los Angeles? Czy przed jego wyjazdem miała miejsce jakaś kłótnia?

– Nie odpowiem na żadne pytania. – Paisley z trudem powstrzymywała łzy. – Zablockowaliście drzwi do biblioteki i ludzie nie mogą do niej wchodzić. Dyrektor polecił mi wziąć urlop, bo dziennikarze zjawiają się tu od trzech tygodni i zakłócają spokój tego miejsca. Od czasu konferencji prasowej pułkownika jestem bezustannie otoczona dziennikarzami. Możecie zostawić mnie w spokoju? Proszę!

– Jest pani ulubienicą całej Ameryki, panno Kane – wykrzyknął stojący najbliżej dziennikarz. – Czytelników

bardzo interesuje pani osoba. Czy to pani naturalny kolor włosów?

– Muszę już iść. – Paisley przebijała się przez tłum. – Proszę mnie przepuścić.

– Panno Kane, ostatnie pytanie...

Zatrzymała się, mierząc reporterów wściekłym wzrokiem.

– Nie. – Wycedziła przez zęby. – Nie chcę słyszeć żadnych pytań. Zmieniacie moje życie w koszmar, wtrącacie się do wszystkiego, nie dajecie mi chwili spokoju. Zaraz stąd odjadę i proszę... nie, żądam, żeby nikt nie zbliżał się do mnie ani na krok. Zrozumieli panowie? Życzę miłego dnia. – Odwróciła się na pięcie i z wysoko podniesioną brodą zeszła na parking.

Reporterzy pozostali na swoich miejscach obserwując, jak dochodzi do, swego samochodu.

– Uff... – westchnął jeden z nich. – Ale temperamencik.

– Trochę się zdenerwowała – odezwał się inny. – Dam sobie już spokój dzisiaj, ale to za dobra historia, by ją tak zostawić. Dziewczyna ochłonie i przyzwyczai się do życia w świetle reflektorów. Czytelnicy na razie szaleją na jej punkcie, widzą w niej nowego Kopciuszka. Wydawca groził, że mnie wyleje, jeśli nic z niej nie wyduszę.

– Racja, stary. Niedługo będzie zadowolona z tego, że interesuje się nią prasa. Idziemy na piwo, chłopcy?

Hamując na czerwonym świetle, Paisley starła z policzka łzy. *Qu'ai je fait?* Jak to się stało? Życie kompletnie wymknęło się spod jej kontroli. Pomysł

pułkownika Blackstone'a, by w czasie konferencji prasowej ogłosić, że ku swojej nieskończonej radości odnalazł córkę, okazała się niewypałem. Pułkownik miał nadzieję, że opowiedziana reporterom historia stanie się sensacją dnia, ale po tygodniu zostanie zapomniana. Tymczasem wciąż ukazywały się pierwszostronicowe artykuły, a zainteresowanie osobą Paisley nie słabło.

„Sytuacja wygląda jak w kiepskim filmie” – pomyślała ponuro dziewczyna, ruszając spod świateł, które zmieniły się na zielone. Dziennikarze wciskali się wszędzie, ciągle coś wykrzykując, podtykając jej mikrofony pod nos, robiąc zdjęcia. Dzisiaj została wezwana do gabinetu dyrektora, gdzie zasugerowano jej wzięcie urlopu, póki sprawa się nie wyciszy.

– A niech to – mruknęła pod nosem. Tak tęskniła za Johnem-Trevorem. Gdy dziesięć dni temu odjeżdżał do swojego biura w Los Angeles, zapewnił ją, że nie chce zostawiać jej samej, ale wzywają go sprawy nie cierpiące zwłoki. W ciągu ostatniego tygodnia przed jego wyjazdem reporterzy rzadko zostawiali Johna-Trevora i Paisley samych, jednak kilka razy udało im się przekraść przez hotelową kuchnię do jego pokoju.

Na usta Paisley wpłynął lekki uśmiech. Tam, przy zamkniętych drzwiach odcinających ich od reszty świata, kochali się nieprzytomnie, wyobrażając sobie, że są jedynymi ludźmi we wszechświecie. Piękne chwile kończyły się, znów musieli stawić czoło dręczącym ich dziennikarzom.

Po kilku dniach John-Trevor zaczął tracić panowanie nad sobą i o mało nie pobił szczególnie natrętnego reportera. Jeszcze przed odlotem do Kalifornii jego myśli krążyły gdzieś daleko, każdego dnia stawał się cichszy i bardziej spięty. Paisley nie pamiętała, kiedy ostatnio śmiał się głośno lub choćby uśmiechał.

Zaparkowała przed domem i szybko się rozejrzała. Nikogo nie było w pobliżu. Podbiegła do ganku i otworzyła pierwsze drzwi. Jej zatroskany wzrok spoczął na witrażu.

Uniosła drżącą rękę, by dotknąć połyskującego szkła. Z jej gardła wyrwał się szloch.

– Johnie-Trevorze, kochanie... – szepnęła, czując spływające po policzkach łzy. Wszystko się rozpadało, ich związek niszczyli obcy, którzy drobiazgowo analizowali każdy ich ruch, jakby byli motylami pod mikroskopem. Musiała znaleźć sposób, by powstrzymać ten obłęd, zanim będzie za późno.

Delikatnie oparła czubki palców na szkle witraża.

– Johnie-Trevorze – szepnęła. – Kocham cię tak bardzo. Chciałam, by wszyscy wokół mnie byli szczęśliwi, a nie wiem, jak zadbać o swoje własne sprawy.

Trzej bracia Paytonowie byli tego samego wzrostu i podobnej budowy ciała, każdy z nich miał błękitne jak niebo oczy w oprawie gęstych rzęs. Różnił ich od siebie kolor włosów. Podczas gdy John-Trevor miał włosy ciemnokasztanowe, włosy Paula-Anthony'ego, najstarszego, były czarne jak węgiel, z pojawiającymi się

nitkami siwizny na skroniach, a najmłodszy, James-Steven był wiecznie rozczochranym blondynem.

Paul-Anthony patrzył na Johna-Trevora ze zmarszczonym czołem. Detektyw, siedząc na krześle przy biurku, opowiadał bratu, co wydarzyło się od chwili, gdy miesiąc temu poleciał do Denver.

– Niesamowita historia – podsumował Paul-Anthony, kiedy John-Trevor skończył. – Czytałem o tym w gazetach, ale sądziłem, że to wymysł dziennikarzy. Gdybyś nie wyglądał jak po serii bezsennych nocy, byłbym pewien, że mnie nabierasz. Jesteś w Los Angeles dziesięć dni i dopiero teraz zdecydowałeś się wyrzucić to z siebie?

– Potrzebowałem czasu – odparł John-Trevor. – Poza tym, odkąd w święta urodził się Chris-Noel, ty i Alida wciąż jesteście w siódmym niebie i nie chciałem psuć ci humoru swoimi problemami.

– Do diabła, przecież po to masz braci. Wiem, że James-Steven i Maggie wybrali się z odwiedzinami do rodziny w Irlandii, ale wiedziałeś, gdzie mnie szukać. Tymczasem ty nawet nie dałeś mi znać, że przyjechałeś do Los Angeles. Nie rozumiem również, dlaczego przez dziesięć dni nie raczyłeś zadzwonić do Paisley.

John-Trevor poderwał się z krzesła i podszedł do dużego okna, za którym rozciągał się widok na Los Angeles. W powietrzu wisiał ciężki smog otulający miasto okopconym, żółtym cieniem.

– Chciałem porozmawiać z Paisley – odezwał się cicho.

– Cholernie za nią tęsknię, ale... – Odwrócił twarz od okna, by spojrzeć na brata. – Od czasu tej konferencji prasowej to jeden wielki cyrk. Poza tym byłem z Paisley u pułkownika. Widziałem ten uśmiech, gdy rozmawiali o jej matce.

– I co z tego?

– Jedliśmy obiad u pułkownika i słyszałem, jak Paisley zachwyca się kryształami, chińską porcelaną, która jest tak cienka, że wszystko przez nią widać. Któregoś wieczoru pułkownik zaczął opowiadać o swoich podróżach. Gdy wspomniał Paryż, Paisley chłoneła każde jego słowo, zapominając całkiem o mojej obecności. To są tylko migawki świata, który może jej zaoferować. Sądysz, do diabła, że mogę z nim konkurować?

– Ty i Paisley kochacie się – powiedział Paul-Anthony. – Sam fakt, że się zakochałeś, już jest zdumiewający. Ale rzecz w tym, że nie zdajesz sobie sprawy z potęgi miłości. Z tego, że uczucie łączy ludzi i dodaje im sił. Pozwól jej ochłonać. Zadałeś sobie trud zapytania jej, co ona myśli o tym wszystkim, jak odnosi się do faktu, że świat leży u jej stóp?

– Nie rozmawialiśmy o tym. Było... mało czasu i nie mieliśmy okazji. Prasa szalała. Reporterzy uganiali się za nami dzień i noc.

– Tak, ciągle ukazują się artykuły na pierwszych stronach – powiedział Paul-Anthony. – Ale chyba nie dowiedzieli się, że chowasz się tu, w Los Angeles?

– Nie chowam się – John-Trevor prawie krzyczał. –

Schodzę z drogi Paisley, by mogła ocenić sprawę obiektywnie. Nie jestem w stanie dać jej tego, co ojciec i nie chcę jej zatrzymywać, jeśli... Do cholery, nie rozumiesz? Nie zamierzałem się zakochać, przeżywać tego emocjonalnego piekła, i oto proszę, pojawiła się ona. W porządku, kocha mnie, ale nie ma żadnej gwarancji, że będzie szczęśliwa w tym związku. To takie skomplikowane i...

– Przerazające? – zapytał spokojnie Paul-Anthony. – A więc to o to chodzi, Johnie-Trevorze? Obleciał cię zimny strach? Jesteś najnormalniej w świecie przerażony, bo znalazłeś się na drodze, na której nie zamierzałeś być?

– Zamknij się.

– Świetnie. – Paul-Anthony wstał, rozkładając ręce. – Przemyśl to sobie, dobrze ci radzę. Zwalasz wszystko na Paisley i próbujesz tłumaczyć się pułkownikiem, ale zastanów się nad sobą i nad tym, o co ci naprawdę chodzi.

– Co ty możesz wiedzieć – mruknął John-Trevor, podchodząc do drzwi. Odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na brata. – Paisley miota się między tym, co mogę dać jej ja, a tym, co oferuje pułkownik. – Potrząsnął głową. – Nieważne. Wracam do Denver.

– Czeka, co chcesz zrobić?

– Później ci powiem. Muszę już iść. – Zaśmiał się, ale nikt nie doszukałby się radości w tym pustym dźwięku. – Historia lubi się powtarzać. To nie stare przysłowie, ale szczerą prawdą. Historia rzeczywiście się powtarza. To na razie.



– Co, do cholery, chcesz... – Ale John-Trevor trzasnął drzwiami. – Niech to diabli.

Kilka godzin później John-Trevor wspinał się po schodach na ganek domu Paisley. Dzień był nadzwyczaj ciepły. Śnieg zniknął, zewsząd rozlegał się świergot ptaków, po niebie przesuwały się drobne chmurki. Piękny dzień, ale John-Trevor nie poświęcił mu ani chwili uwagi.

Zamaszystym ruchem otworzył zewnętrzne drzwi i zamarł. Krew zatętniła mu w uszach, a mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

Witraż zniknął.

– Boże drogi – jęknął, zapatrzony w brzydki karton, który wprawiony był w miejsce kolorowej tafli.

Drżącą ręką nacisnął dzwonek. Rozległy się pierwsze takty „Here Comes Peter Cottontail” i drzwi się otworzyły.

Paisley w czarnych spodniach i jaskrawoczerwonym swetrze stała, wpatrując się w niego dużymi, ciemnymi oczami. Przyciskała do piersi witraż.

„Kocham cię” – krzyczała jej dusza.

– Czy mogę wejść? – zapytał. Odsunęła się i zaprosiła go do środka. Po podłodze w holu wałały się zwoje szarego papieru, w który najwyraźniej chciała opakować płytkę witraża.

– Widzę, że się wyprowadzasz – odezwał się John-Trevor grubym, nienaturalnym głosem. – Do pułkownika, prawda? Do jego domu, w jego życie, jego świat.

– Johnie-Trevorze, ja... Podniósł rękę, żeby ją uciszyć.

– W porządku, rozumiem to. Naprawdę. Mówiłem Paulowi-Anthony'emu, że historia lubi się powtarzać i tak właśnie się stało.

– Ale...

– Pozwól, że skończę. Dwadzieścia pięć lat temu pułkownik Blackstone odszedł z życia Kandi, bo kochał ją tak bardzo, że jej szczęście znaczyło dla niego więcej niż własne. Pragnęła innego życia niż to, które jej mógł zapewnić i uszanował to. Kochał ją wystarczająco mocno, by odejść.

John-Trevor ciężko przełknął ślinę, gruda w gardle nie pozwalała mu mówić.

– A teraz – ciągnął po chwili – historia się powtarza. Kocham cię, Paisley. Kocham cię tak bardzo, że postanowiłem zniknąć z twego życia. Widzę, że zdecydowałaś wprowadzić się do ojca i nie będę próbował cię powstrzymać. Robisz słusznie, bo on da ci to, na co zasługujesz. Przyjechałem tylko po to, by powiedzieć ci to osobiście. I obiecuję, że nie będziesz się o nic obwiniać. Jakoś się wyleczę. Nie wiem, jak to zniósę, niełatwo przekreślić miłość. Ale chcę, żebyś była szczęśliwa, tak jak na to zasługujesz.

Paisley odłożyła witraż na mały stolik przy drzwiach, opierając go krawędzią o wprawioną w nie szybę. Wolno podniosła wzrok na Johna-Trevora.

– Pójdę już. – Skierował się do wyjścia. – Życzę ci wszystkiego najlepszego i... Żegnaj, Paisley. – Położył rękę na klamce.

– Johnie-Trevorze Payton. – Usłyszał jej głos. – Jeśli przejdziesz przez te drzwi, wepchnę cię w pierwszą lepszą zaspę, jaka się nawinie. Nie waż się odejść, póki nie wysłuchasz, co ja mam do powiedzenia.

Zamrugał oczami. Otworzył usta, zamknął je i zdjął rękę z klamki, odwracając się twarzą do dziewczyny.

– Przede wszystkim, panie Payton – zaczęła, unosząc brodę i modląc się, by jej głos nie drżał tak bardzo – jesteś podłym łajdakiem, skoro nie próbowałeś skontaktować się ze mną w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

– Ja... – Spokój!

– Och...

– Zachowałeś się paskudnie i nie masz nic na swoje usprawiedliwienie. Odkąd wyjechałeś, było mi jeszcze ciężiej. Czułam się taka samotna.

Reporterzy nie dawali mi spokoju i wyglądało na to, że ten koszmar nigdy się nie skończy. Postanowiłam więc dać losowi wychodne i wziąć sprawy w swoje ręce.

Wzrok Johna-Trevora spoczął na chwilę na witrażu, po czym wrócił na Paisley.

– To widać – odezwał się.

– Bądź tak miły i nie przerywaj!

– Dobrze.

– O czym mówiłam? A więc wzięłam sprawy w swoje ręce. Kilka dni temu spotkałam się z ojcem i odbyliśmy przemiłą długą rozmowę. Później opowiedziałam o swoim pomysle reszcie rodziny, oczywiście Maxine też była obecna. Jak wiesz, ojciec mieszka w olbrzymim...

– Paisley, proszę cię – wtrącił John-Trevor. – I tak nie jest mi łatwo tego słuchać. Zaoszczędź mi szczegółów i nie opowiadaj, jak podjęłaś decyzję pozostania przy ojcu. Wiesz przecież, musiałaś wiedzieć, że chcę być panem siebie i nie przyjąłbym żadnych pieniędzy od pułkownika, gdybyśmy mieli się pobrać. Wybrałaś jego. Nie wracajmy do tego. Nie ma o czym mówić.

Zwinięte w piąstki dłonie oparła na biodrach, jej oczy niebezpiecznie się zwięziły.

– Milcz, Payton. Spojrzał na nią zdumiony.

– Och, Johnie-Trevorze – ciągnęła już łagodniejszym tonem. – Nie tylko słucham tego, co mówisz, ale słyszę też, naprawdę słyszę to, czego nie chcesz powiedzieć. Nie zamierzałeś się zakochać, ale tak się stało. Wszystko poplątało się jak nitki pajęczyny, gdy spotkałam ojca. I teraz próbujesz uciec od tego, co wydaje ci się cierpieniem. Kochanie, ja też przeżywam chwile zwątpienia.

– Ty? Przecież ty pragnęłaś wielkiej miłości, Paisley.

– Taką miałam nadzieję, że to marzenie się spełni. Ale w ciągu ostatnich tygodni wszystko wydawało mi się przygnębiające i za trudne, bym mogła to znieść. Musiałeś czuć się jeszcze gorzej niż ja, bo nie planowałeś wcześniej z nikim się wiązać. Tak mi przykro, że byłam zbyt przejęta sobą, by zauważyć, jak tobie trudno w tym się znaleźć. Nic dziwnego, że chcesz ode mnie odejść. Nic dziwnego, że obleciał cię strach i zdecydowałeś się zostawić mnie.

– Hej! – John-Trevor zmarszczył brwi. – Nie rozmawiałaś czasami z Paulem-Anthonym?

– Nie. Miałaś siedzieć cicho i słuchać. – Tak jest.

– Johnie-Trevorze. Kocham cię. Jesteś dla mnie najważniejszy i nikt inny mnie nie obchodzi. Będę cię kochać do śmierci. Jesteś moją tęczą marzeń, każdym kolorem, z wyjątkiem jednego, który zachowuję dla naszej gromadki dzieci. Rozmawiałam o tym z ojcem i zrozumiał to. Twierdzi, że tak właśnie powinno się stać, czuł się tylko samotny. Wtedy powiedziałam mu, że nie chciałabym zostawić mojej małej rodziny bez opieki i zgodził się, a potem oni się zgodzili i... Wczoraj wprowadzili się do Williama. Gracie, profesor, Bobby, Maxine i szczeniaki. – Ale...

– Szkoda, że ich nie widziałeś. Są bardzo szczęśliwi. George stracił głowę dla Gracie. Gracie w kuchni ojca czuje się jak w siódmym niebie. Bobby opiekuje się samochodami pułkownika, całą kolekcją zabytków starej marki. Już planują zorganizowanie parady staroci na ulicach Denver. Profesor ma teraz gdzie majsterkować, a Maxine i szczeniaki są rozpieszczani na wszystkie możliwe sposoby. W domu tętni życie, wszędzie słychać śmiech. Już od progu czuje się atmosferę szczęścia i radości.

– A ty? Co chciałaś zrobić, Paisley? – spytał, wstrzymując oddech.

– Nie miałam wiadomości od ciebie, Johnie-Trevorze, przez potwornie długie, rozpaczliwe dziesięć dni. – Jej

oczy wypełniły się łzami. – Ale nie mogłam uwierzyć, że przestałeś mnie kochać i odszedłeś ode mnie na zawsze. Kochanie, naprawdę nie wiesz, dlaczego wyjęłam z drzwi witraż?

Chciałam zabrać go do Los Angeles. Wybierałam się do ciebie, nie przeprowadziłam się do ojca.

– Paisley?

– Reporterzy dadzą nam spokój, gdy zorientują się, że odpowiada mi nie rola córki pułkownika Blackstone'a, ale twojej żony i matki dzieci. Pułkownik i jego nowa rodzina okażą się wdzięczniejszym tematem. Będę widywać się z ojcem w święta i przy innych okazjach jak każda zamężna córka. Rozumiesz już? Tego właśnie chciałeś? Jestem twoja, Johnie-Trevorze, od dziś już na całe życie, jeśli twoje serce nadal tego pragnie. – Usłyszał jej szloch. – Kocham cię tak bardzo.

Z jękiem chwycił ją w ramiona i przytulił tak mocno, że prawie straciła oddech.

– Zachowałem się jak dureń – stwierdził. – Wmówiłem sobie, że powinienem zostawić cię, tak jak pułkownik twoją matkę. Po prostu bałem się. Uciekłem nie od ciebie, ale przed tobą. Paisley, zostaniesz moją żoną?

Chcesz mieć ze mną gromadkę dzieci?

– Och, tak. Tak.

Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Jej serce mało nie eksplodowało z wielkiej miłości, gdy zobaczyła błyszczące w jego błękitnych oczach łzy. Uśmiechnęła się, a wtedy on nachylił się i pocałował ją, pieczętując tym

ich związek na resztą życia.

Cały świat zniknął, w tej chwili liczyli się tylko oni.

I wtedy, jakby los chciał, by ostatnie słowo należało do niego, słońce przedarło się zza chmur i padło prosto na witraż.

Błyszczące, wibrujące barwy rozlały się kaskadą, zasypując Paisley i Johna-Trevora przepiękną tęczą cudownych marzeń.